

amok

czy można
katować
żonę

5



kto ci
kazał
kraść

8-9



artysty-
czne
buczenie

jak dać
w ligawę 14

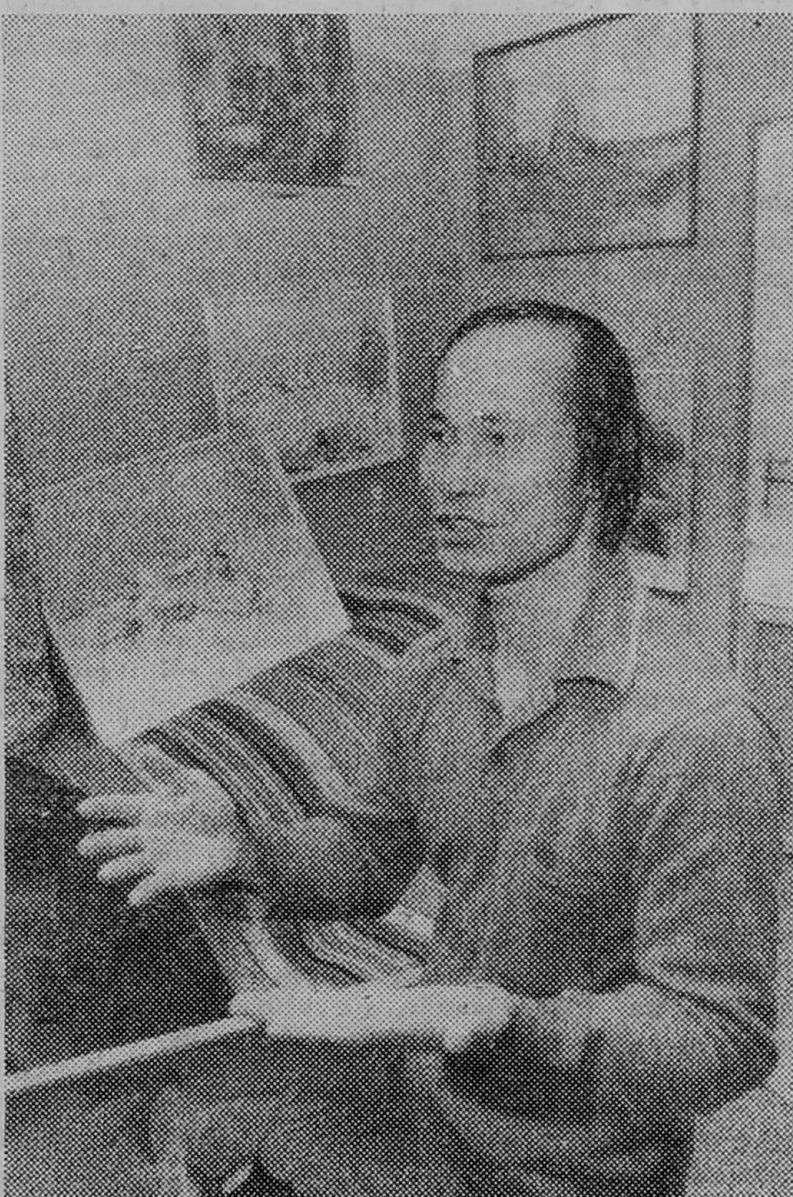
KONTAKTY

ŁOMZYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

2

(117)

KONTAKTY
9 I 1983
Cena 10 zł



H
U
U

Z
N
A
D

P
E
R

F
U
M
O

W
E
J

R
Z
E

K
I

WŁADYSŁAW

TOCKI

ADAM JERZY SOCHA

badylarzem

być!

ty, groszorbie, patrzący zawistnie na cały ten szklany szmal, możesz zostać milionerem. I ty, którego nie stać na Fundusz Wczasów Pracowniczych w jakiejś pipidówce, możesz opalać się pod słońcem Jamajki, a zamiast gniesć się jak śledź w czerwoniakach — mknąć setką za kierownicą mirafiori. I o tobie mogą ludzie zazdrośnie mówić: „O, ten to ma!” Wiesz, dlaczego jesteś biedny? Boś głupi! A dlaczego go głupi? Boś biedny!

Do takiej konkluzji doszedł w roku 1979 również Leszek Prażmowski. Miał wówczas 25 lat, ukończył Technikum Rolnicze (— Bardziej gonilem za zmysłami, jak za książkami), czteroletni staż jako inspektor przy skupie ziemniaków (— Ta praca nauczyła mnie gadać z ludźmi), prócz tego — poczucie humoru i rytmu (— Serce wiejskich kapel, czyli perkusista, to ja), odwagę i chęć zysku. No i jeszcze ojca, który sprzedawał gospodarkę i miał milion złotych.

— Mogłem kupić złoto i dolary — powiedział mi ojciec — i spokojnie żyć, ale Leszek zaczął za mną chodzić. Zgodziłem się. Lubię, jak coś się robi.

Leszek początkowo myślał o złotonośnych kurnikach, lecz zakłady drobiarskie zaprzestały kontraktacji, więc zdecydował się na szklarnie. Zielone pojęcie miał, zaczął od dwu tuneli foliowych, ale by z folii przeskoczyć na szkło, jeden milion nie wystarczy.

Brakujące pieniądze wyłożył Bank Gospodarki Żywnościowej w formie oprocentowanego kredytu: 3,5 miliona na 2 proc. Kredyt pobrał jako „zespół”, w skład którego weszli, obok niego, ojciec i krewny jego żony. Gdyby brał go we własnym imieniu, musiałby wyłożyć nie 25, a 50 proc. wkładu inwestycyjnego.

Pieniądze były, budowa mogła startować. Chwileczkę. Pierw trzeba było zdobyć materiał na konstrukcję stalową. Wybrał się więc z dwoma kolegami, którzy też rozkręcali interes, do Katowic — do „Centrostatu”; łomżyńskie magazyny były puste.

— Udawaliśmy pogrzebanych z kretelem, jeżeli nie otrzymamy tego materiału — wspomina Leszek. — Rozmowa z dyrektorem była krótka: da, tylko potrzebne jest pismo od wojewody o przydział.

STR. 6

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

W NASTĘPNYM NUMERZE: „Kubel wody dla samobójców”, czyli dla szastających truciznami: „Służyłem wiernie” — kontynuacja „Jego Biurokratyczności”, tekstu, który wywołał wiele polemik: „U mlecznych źródeł”, czyli: skąd biorą się brudy w mleku. Ponadto: pierwszy w tym roku magazyn dla dzieci „Kontakci”, cenne rady przodków — jak zrobić mydło, płyn przeciw wypadaniu włosów i in.

„PARTIA WYSZŁA Z DEFENSY- WY, ale nie jest jeszcze w ofensywie. Miniony okres pozbawił partię ludzi chwiejnych i dwulicowych, co zmniejszyło jej szeregi, ale wzmocniło skuteczność oddziaływania. Otwarty styl pracy władz partyjnych i państwowych zyskuje szerokie uznanie członków partii i bezpartyjnych” — takie spostrzeżenia odnoszemy ze sprawozdania Wydziału Organizacyjnego KW PZPR podsumowującego przebieg terenowych konferencji sprawozdawczo-programowych w województwie.

Obecnie trwają przygotowania do Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Programowej PZPR: delegaci zapoznają się ze sprawozdaniem KW, Wojewódzkiej Komisji Rewizyjnej i Kontroli Partyjnej, odbędą spotkania w POP. Wojewódzka Konferencja rozpocznie się 22 stycznia o godzinie 9.00.

REJONOWE OŚRODKI PRACY PARTYJNEJ istnieją dopiero od roku. Jak wywiązują się ze swoich zadań? Nad tym pytaniem zastanawiali się członkowie Egzekutywy KW PZPR, która zebrała się na swym ostatnim posiedzeniu w 1982 r. Za przykład posłużył łomżyński ROPP, kierowany przez Elżbietę Szrajer, a obejmujący swym zasięgiem Jedwabne, gm. Łomżę, Miastkowo, Nowogród, Piątnicę, Sniadowo, Wiznę i Zbójnę, czyli najbardziej rozległy rejon w województwie. Bardzo szybko udowodnił swą przydatność. Członkowie partii i instancja wojewódzka odczuły poprawę obiegu informacji wewnątrzorganizacyjnej. Egzekutywy POP zyskały w nim codziennego przyjaciela, wspomagającego i inspirującego pracę ideowo-wychowawczą, zachęcającego do wymiany doświadczeń, poszukującego nowych form i metod działania.

WOJEWÓDZKA KOMISJA Współdziałania PZPR, ZSL, SD obradowała nad planem społeczno-gospodarczego rozwoju Łomżyńskiego na rok 1983. Za kierunki priorytetowe uznano: rolnictwo, gospodarkę żywnościową, mieszkaniową i komunalną, służbę zdrowia i opiekę społeczną, oświatę oraz zaopatrzenie rynku.

W ZJEDNOCZONYM STRONNIC- TWIE Ludowym trwa kampania sprawozdawczo-wyborcza. W dyskusjach dominują tematy: meliora-

cja i konserwacja użytków zielonych, działalność spółki wodnej, funkcjonowanie służby zdrowia, służby weterynaryjnej i WOPR-u po reorganizacji.

TYMCZASOWA RADA Wojewódzka PRON przyjęła na grudniowym plenarnym posiedzeniu — z udziałem przedstawicieli OKON-ów z Goniądza, Zambrowa, Kolna, Grajewa, Wysokiego Mazowieckiego — ramowy plan działania. Czytamy w nim: „Naród jest gospodarzem we własnym państwie, którym rządzi władza przez niego wybrana. Pragniemy, aby państwo i naród stanowiły jedną całość dającą się wzajemnym zaufaniem i szacunkiem. PRON stawia sobie za cel budzenie zaufania społeczeństwa do władz, pragnie być inicjatorem dialogu, usuwania tego, co zaufanie osłabia. Pragnie przywrócić wiary w możliwość odnowy i porozumienia”.

PREZYDIUM RADY TYMCZA- SOWEJ PRON spotkało się z wojewodami i prezesami Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Rolniczych oraz dyrekcją Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego. Prowokcy wykazali się organizacją sprzedaży obuwia. Wojewoda zapewnił, że poleci zwiększyć liczbę sklepów z obuwem i wprowadzić zasadę informowania klientów o dostawach. Ponieważ około 20 proc. butów wykupili w Łomżyńskim mieszkancy sąsiednich województw, TRW PRON zwrócił się do Prezydium Rządu o wprowadzenie korekty do rozdziałników o kompleksowe rozwiązanie problemu zaopatrzenia rolników w gumowce i gumofilce.

ENKLAWA ŁOMŻYŃSKA w stolicy. W siedzibie Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej na ul. Prezydenckiej w Warszawie nie tylko wspomnienia świadczą o ścisłych związkach gospodarzy z miastem nad Narwią. Na przednoworocznym spotkaniu w Warszawie, na które przyjechali: wicewojewoda Eugeniusz Mioduszewski, dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki UW, Janusz Berner, oraz

red. naczelny tygodnika „Kontakty”, Stanisław Zagórski, zastanawiano się nad tym, co zrobić, by ponownie miasto „zbliżyć” do rzeki, efektywniej wykorzystywać naturalne warunki rekreacyjno-wypoczynkowe. Członkowie Towarzystwa zwracali uwagę na lepszą ochronę zabytków i miejsce pamięci narodowej. Szczególnego zainteresowania wymaga np. ochrona cmentarza łomżyńskiego, który wiekiem dorównuje warszawskiemu Powązkom. Trzeba spojrzeć po nowemu na Skansen w Nowogrodzie, którego martwość przeraża, a niszczące ekspozycje stawiają pod znakiem zapytania sens jego istnienia.

W I kwartale 1983 WPHW otrzymało tyle obuwia, ile sprzedało w II półroczu 1982, dlatego będą możliwości dodatkowej formy sprzedaży, np. kiermasze zakładowe (na kartkę z pieczęcią zakładu). Najbliższe: w Zakładzie nr 2 Białostockich Fabryk Mebli i Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym.

W OKRESIE PRZEDŚWIĄTEC- NYM mieszkańcy województwa wysyłali dziennie około 54 tysiące listów, 400 paczek i 830 telegramów, a otrzymywali: 72 tysiące listów, 950 paczek krajowych, 1700 zagranicznych i 760 telegramów. Trzeba było uruchomić dodatkowe kursy do przelotu paczek i zwiększyć zatrudnienie.

ŁOMŻYŃSKIE NADLEŚNICTWO, obejmujące swoją działalnością również Kolno i Zambrow, sprzedało w 1982 roku o 773 choinki więcej niż w 1981.

„SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO 1983 roku życzę Wam dzieci z miasta Panewieżyś w Litewskiej Republice Radzieckiej, 28 grudnia 1982 roku” — takie życzenia dzieci litewskich nadeszły z transportem słodczy, zabawek pluszowych i mechanicznych od produkujących je zakładów dla najmłodszych mieszkańców Łomżyńskiego, Suwalskiego i Białostockiego. Prezenty trafiły do żłobków i przedszkoli.

PRZED SYLWESTREM łomżyński „Automobilklub” zorganizował kulg dla wychowanków Domu Dziecka. Samochody, do których doczepiane były sanki, jechały do Łasku Jednacczewskiego, pilotowane przez radiowóz na sygnale świetlnym. Prawdziwa frajda zaczęła się na leśnej polanie, gdzie było saneczkowanie, zabawy w śnieżki, ognisko, kanapki i drobne upominki. Równie dobrze, jak dzieci, bawili się dorośli.

zdanie tygodnia

Chłopu jak nie wyjdzie jajeczko, to mleczko, jak nie mleczko, to jeszcze co innego.

(Zasłyszane)

myśl z atestem

Długa droga przez zalecenia, krótka i skuteczna przez przykłady. (Seneka)

co przyniosł rok 1982?

WITOLD WINCENCIAK, kierownik Wydziału Organizacyjnego KW PZPR. W roku 1982 wzmocniła się kondycja partii. Jej podstawowe ogniska z coraz większą konsekwencją rozwiązywały problemy środowiskowe. Zdecydowanie poprawiła się przepływ informacji z góry na dół i w kierunku odwrotnym. Codziennie życie towarzyszy większa dyscyplina, żyły komisje współdziałania partii i stronnictw politycznych, i to nie tylko województwie, ale także w gminach. Zdecydowanie poprawiło się zaopatrzenie w żywność, w tym w mięso. Chociaż jeszcze kartki, ale znikły już kolejki. **GRZEGORZ FLEJTER**, kierownik Wydziału Propagandy i Agitacji KW PZPR. — Rok 1982 przyniósł zdecydowaną poprawę obiegu informacji centralnej i wojewódzkiej. Ukazało się 41 numerów „Więści Informacyjnej”; wydawane były również biuletyny problemowe, choć „Łato 82” i „Środowiskowe”. Zaczęły się chodzić serwisy informacyjne w zakładach pracy, m.in. w Łomży i Grajewie. **JAN JAMIOŁKOWSKI**, kierownik Wydziału Ekonomicznego KW PZPR. — Przed wszystkim przyniósł unormowanie sytuacji społeczno-politycznej i gospodarczej w naszym kraju, większe zdyscyplinowanie, wywołał nadzieję na lepszą przyszłość.

Jerzy Baczewski, sekretarz PZPR w Łomży: — Organizacje partii umocniły się w zakładach pracy, dało nam się również przezwyciężyć trudny etap odchodzenia z partii, w statym czasie przysięgaliśmy 15 członków w życiu prywatnym nie szczególnie poza tym, że wydałem za żonę córkę, zostałem dziadkiem.

PEK KAZIMIERZ JARON, pełnomocnik Komitetu Obrony Kraju województwa łomżyńskiego: — Bardzo dużo rozwiązań w wymiarze globalnym, bardzo mało w stosunku do oczekiwań mieszkańców województwa łomżyńskiego. **ZDZISŁAW TRUSZKOWSKI**, wicejeden z łomżyńskich: — Rok 1982 przyniósł szalenie dużo obowiązków i bardzo mało czasu dla rodziny, zmianie bardziej kompleksowe spojrzenie na problemy naszego województwa. Inaczej pracowało mi się na jednym odcinku, inaczej na wielu jednocześnie. Uważałem, że w Łomżyńskim, właśnie w roku 1982, które dotychczas toczyło się do przodu, nareszcie zmienić swój bieg.

KRYSTYNA MICHAŁCZYK-KANDTOWICZ, prokurator: — Rok inny poprzednich. W województwie nie było ani jednej sprawy o zabójstwo. Zmniejszyła się liczba napadów rabunkowych. Zawieszenie stanu wojennego obwarowało dodatkowymi obowiązkami Prokuratury i sądy. Chyba oszczędniej będziemy rządzić z trybu doradczego.

ROMAN POLKOWSKI, zastępca rektora Oddziału Wojewódzkiego BGŻ. Zmieniło się niewiele. Jeszcze w tym roku udzielamy kredytów taniej niż noszą ich koszty. Udoskonalony jest system finansowania; no jego wprowadzeniu powinniśmy ruszyć z kopca nasze westyle gminne i wojewódzkie. Ciężko jest, że wreszcie odbijemy się dna.

JAN RUTKOWSKI, prezes Zarządu „Spolem”: — Przed wszystkim wy na poprawę w zaopatrzeniu. Wprawdzie występują jeszcze braki, ale podstaw artykuły spożywcze znalazły się już półkach. Udało nam się zrealizować wszystkie przyrzeczki inwestycyjne. 1983 r. oddamy do użytku, historycznie, masarnię w Zambrowie i dwa nowe handlowe w Grajewie. Dwie cówki handlowe (wznieszone wspólnie WPHW) otrzymały również osiedle. Po nie w Łomży.

JANUSZ KARPINSKI, zastępca dyrektora Rejonu Dróg Publicznych: — Konaliśmy wszystkie zaplanowane z nich. M.in. dzięki idealnym warunkom atmosferycznym. Nie mieliśmy też w szczyt kłopotów z zaopatrzeniem w szyn bitumiczną. Co w roku 1983? Będziemy zrobić drogę do Sniadowa, a potem Nowogrodu, Jeziora i z Kiszew do Kolna. Już prawie wyprostował drogę w Małym Plocku. Wiele czasu chłania wykończenie ul. Gwardii w Łomży i Sikorskiego. Myślmy już o kach na Poznańskiej i Armii Czerwonej. **RYSZARD KOSAKOWSKI** z ZW ZS. — Na początku roku 1982 przenosił się akcja „Jaka Polska, taki związek” i odpowiedział sobie na wiele wątpliwości. Udała się nam też akcja „Nie

CIĄG DALSZY NA STR. 15

zdarzenia



29 grudnia 1982 roku, w siedzibie Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, odbyło się — z udziałem przewodniczących jury: Zenony Macużanki i Andrzeja Podulki — konkurs na Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, i Marka Humiechuka, wiceprezesa Łomży — wręczenie nagród laureatom konkursu na mini-opowiadanie i grafikę o tematyce sensacyjnej, demonicznej i niesamowitej, zorganizowanego przez „Kontakty” i Ludową Spółdzielnię Wydawniczą. Zwycięzcy (wszyscy w nadzwyczaj młodym wieku) zgodzili się przedstawić naszym Czytelnikom.

MARIA FILEK (I nagroda w konkursie plastycznym) z Wadowic: — Jestem z wykształcenia inżynierem włókiennikiem, ale od niedawna pracuję jako nauczycielka w szkole podstawowej. Rysuję od najmłodszych lat, ale nigdzie jeszcze swoich prac nie wystawiałam ani nie publikowałam. W konkursie chciałam udzielić nie mówiąc o tym rodzinie, żeby nie zapeszyć. I udało się! **GRZEGORZ MATZ** (II nagroda za opowiadanie „Ostatni kurs”), dziennikarz („Zarzewie”): — Chciałbym wiedzieć, gdzie teraz bardziej straszy, na wsi czy w mieście. Czy konkurs dał nam to odpowiedź? **ZDZISŁAW GRABOWSKI** (II nagroda za grafikę) z Kolna: — Jestem prawnikiem i nie mam żadnego przygotowania plastycznego. Pomysł konkursu był

naprawdę niesamowity, przynajmniej dla mnie, bo dopingował mnie do próby bicia czegoś na ten temat. Cieszę się, że moje rysunki zyskały uznanie. Kiedy czułem, że rysować, czemuś przestała byćwać u nas moja twórczość. **ZBIGNIEW ADAMCZYK** (II nagroda za opowiadanie „Skazaniec”) z Jaworzna: — Jestem uczniem. Uczę przede wszystkim gramatyki i czytania w szkole zawodowej. Nie zawsze zyskuje uznanie zwierzętników. Sukces w waszym konkursie jest dla mnie niespodzianką. O tyle miła, że moja żona przysłała: „Coś ci się wreszcie udało”. Zyskałem w jej oczach! **ANDRZEJ KOSTARCZYK** (nagroda podyktanta Łomży za motyw łomżyński w opowiadaniu „Magiel”), które opublikujemy w następnym numerze: — W Łomży nie byłam nigdy, znałem z opowieści jednego z kolegów. W konkursie wziąłem udział, by wyrazić swoje doświadczenia, że embargo na moje niekiełne zostało odwołane. To żartem, a serio: nie miałem uczucia ulgi pracując nad tym opowiadaniem, bo pozwoliło mi zapoznać się z uwagami i uwagami naszej społeczności.

W trakcie spotkania Leon Janiczak, prezes LSW, został uhonorowany przez przedstawicieli łomżyńskich władz odznaką „Za Zasługi dla Województwa Łomżyńskiego”.

do załóg osobowej obsługi PKS

Rozległe i trudne do szybkiego pokonania kłopoty w zaopatrzeniu i różnorodnych usługach dla ludności miast i wsi wynikłe z głębokiego kryzysu jaki przeżywamy, są głównym powodem niezwykle wzmożonego ruchu pasażerskiego. Zapewne nie szybko jeszcze w naszym kraju dołączymy się takiej sytuacji, aby wiejska gospodyni mogła telefonicznie zamówić potrzebne jej towary i otrzymać dostawę do domu.

Podwyższenie opłat przejazdowych nie zmniejszy naporu pasażerów na skąpy i nadwątły tabor osobowy PKS, zatem obsługa tej komunikacji ma zarazem trudne i społecznie niezwykle ważne zadanie. Pokonanie trudności nie ogranicza się tylko do wysiłków techniczno-organizacyjnych i ustawicznego poprawiania wyposażenia kadry pracowniczej. Niezwykle ważna, a może nawet najważniejsza jest sama postawa pracowników. Od tego zależy praktyczne rozstrzygnięcie sporu, co tu jest najważniejsze: głose „odbywanych kursów”, czy dobra obsługa pasażerów maksymalnie wykorzystująca istniejące możliwości.

Od 1948 r. jestem bardzo częstym klientem PKS, 12 lat codziennie dojeżdżałem do szkoły i pracy. Z niezwykłym szacunkiem i uznaniem odnoszę się do bardzo trudnej i dobrze wykonywanej pracy znakomitej większości ludzi z obsługi komunikacji osobowej.

Odwołuję się do Państwa wyobraźni. Np. proszę sobie wyobrazić, że Wasza Matka, Zona, Siostra czy ktokolwiek bardzo bliski mieszka w miejscowości Granne n/Bugiem, w domu jest bardzo chora osoba, z którą trzeba pojechać do lekarza w Warszawie. Po trudnym dniu z chorem wraca się z Warszawy nieomieszanie zatłoczonym pociągami i wysiada wreszcie na stacji kolejowej w Czyżewie z ogromnym niepokojem, czy jeszcze „złapie się autobusu do Grannego”, a tu taka rzeczywistość: z peronu widać, że niepełnie pełny autobus rusza z przystanku, gonimy co sił w nogach, ale pan „za kółkiem” jest lepszy. Uciek! Przed nami teraz są dwie możliwości: siedzenie, np. z chorem dzieckiem, kilka nocnych godzin w zimnej dworcowej hali lub poszukiwanie prywatnego samochodu, którego właściciel, jak mu humor dopisze, to za ok. 2.000 zł pokona te ok. 40 km drogi. Co ci pasażerowie, niedoszli, mówią o bohaterze z za kółka nie trudno odgadnąć. Ja też kiedyś nieopatrznie w prywatnej korespondencji nazwałem to draństwem. Nieszczęście chciało, że bez mojej zgody ten fragment korespondencji opublikowały „Kontakty” w Nr 105. Wszystkich uczciwych Pracowników PKS, którzy poczuili się tym dotknięci niezwykle gorąco i serdecznie przepaszam.

Może ktoś powie, że to zmyślona fikcja, że takich sytuacji nie ma. Jakże byłbym szczęśliwym, gdyby ich rzeczywiście nie było! Niestety, są takie i tym podobne krople niesmaku. Czy być muszą? Jestem pewny, że nie.

Nie mogąc przez kilka lat załatwić prawie nie w tej kwestii z władzami PKS, jako radny obowiązany troszczyć się o żywotne sprawy Wyborców, zwracam się tą drogą do serdeczną i gorącą prośbą do wszystkich wrażliwych na ludzkie dolegliwości pracowników osobowej obsługi PKS: uczynmy wszystko, aby takich przypadków, jak wyżej opisany, w naszym województwie nie było. Na zakończenie jeszcze jedno. Pracujecie Państwo na niezwykle trudnym i ciężkim odcinku służby społeczeństwu, może nie najlepiej wynagradzani i na pewno zbyt często niedoceniani. Spróbujcie zatem docenić wśród pasażerów ludzi innej trudnej pracy. Te kłopotliwe często pasażerki, pogardliwe czasem określane mianem „baby z wiochy”, to utrudzone nad swoje siły kobiety, dzięki którym zjadamy codzienny chleb i najczęściej nie suchy.

W imieniu swoim i swoich wyborców chcę przy tej okazji gorąco podziękować tym wszystkim Pracownikom PKS, dzięki którym odtwarzamy pracę pokonujemy codziennie jako społeczeństwo tysiące kilometrów, załatwiając nasze szare dokuczliwe codzienne problemy.

Kazimierz Uszyński radny WRN

Zapraszając mnie do dyskusji Redakcja była uprzejma poinformować, że zabrali już lub lada numer zabiorą głos trzej zacięci ludzie z Centrum. Rozmowa o prasie terenowej, której ton mają nadać autorzy ze stolicy, jest już przejawem kompleksu — wybaczenie to słowo — prowincji. Jeśli my, prasa terenowa, mamy stanowić o sobie, to bądźmy wreszcie na tyle niezależni i samorządni intelektualnie, aby akceptować nas nie tylko w Warszawie, ale przede wszystkim w najbliższym otoczeniu. Pismo nie mając bezpośredniego wsparcia swoich Czytelników nie uchowa się pod żadnym naczelnym sztandarem. Nas czyta mieszkając teren, kilku zaledwie (z obowiązku lub przyjemności) mieszkańców stolicy. Nie odmawiam im ani krzyż szacunku, zaczynamy jednak w naturalnej kolejności.

Byliśmy, jesteśmy i pozostaniemy korektorami geografii społecznej Polski. Każdemu z nas bliżej do obywatela Łomży, Słupska i Koszalina niż najbardziej; nawet pracowitemu koleźce z najlepiej poinformowanej warszawskiej redakcji. Panie Redaktorze Naczelny — obydwaj stoimy w kolejkach z naszymi współziomkami. Niektórzy nas znają, inni nie, ale co usłyszymy i zobaczymy, to nasze,

O kulturotwórczą rolę prasy regionalnej, jej funkcje w środowisku, efekty inicjatyw redakcyjnych i rezonans materiałów krytycznych zapytałem redaktorów pism regionalnych, aby dopełnić cykl podjęty przez „Kontakty” wiosną 1982 r.: „Jak sobie wyobrażam moje pismo regionalne”. Wypowiadali się w nim dotychczas nasi Czytelnicy, a także Krzysztof Kostyrko, kierownik Wydziału Kultury KC PZPR, i Klemens Krzyżagórski, przewodniczący Tymczasowego Zarządu Głównego SD PRL. Dziś głos zabiera redaktor naczelny „Pobrzeża”, tygodnika obejmującego Koszalińskie i Słupskie.



korektorzy społecznej geografii

przede wszystkim — nasze Ci z ogłoszenia są rzeczywistymi lub potencjalnymi adresatami naszych pism, piszemy dla wielu, wielu znajomych, a to jest zupełnie inne pisanie niż takie bez adresu, na chybił-trafił.

Tymczasem odnoszę wrażenie, poparte tak licznymi dowodami, iż pojemność jednego egzemplarza „Kontaktów” na nie za mało, że prasa terenowa chce się uszlachetniać przez podobieństwo — aż do całkowitej niemal identyfikacji — z centralną. Poziomem, wiedzą — zgoda, ale nie problematyką! Popelnialiśmy błędy młodości — chcąc zmieniać Polskę i świat, nie zajmując się tym, z czego ta Polska i ten świat się składają: z domów, wsi, miasteczek, miast, szkół i szkółek, z ludzi małych, przeciętnych, niekiedy wielkich i wspaniałych, lecz na bardzo szerokim tle. Rozpoznać to tło, zrozumieć je, wpływać na jego zmianę, współkształtować jego (zatem i swój) los — tak między innymi pojmuję rolę prasy terenowej.

W roku 1974 zlikwidowano „Pobrzeże”, miesięcznik społeczno-kulturalny ówczesnego województwa koszalińskiego, ukazujący się od 1969 roku. Część dorobku i powinności tego miesięcznika, jak również „Tygodnika Morskiego”, „Liter” i „Spojrzeń”, przejął tygodnik społeczny „Czas”. Byłem w jego zespole od pierwszego do ostatniego numeru. Mam z tego okresu zarówno bardzo dobre, jak i niekorzystne doświadczenia. Zostawiłem je sobie. W ma-

ju 1982 roku, po wieloletnich staraniach, podjęto decyzję o reaktywowaniu „Pobrzeża”; 1 września wydaliśmy pierwszy numer. Z dużym trudem przychodzi zawiązywać nieszczęśliwie zerwaną nić tradycji regionalnego pisma. Jeszcze nie udało się odzyskać pozycji z 1974 roku. Nowe „Pobrzeże” nie może być prostą kontynuacją samego siebie — inne czasy, inne realia, inny klimat, inni ludzie. W okresie naszej nieobecności wśród Czytelników doszło do nawrótów i zarazem przewartościowania problemów i postaw. Chcąc nie chcąc — zaczynamy od nowa.

Generalną linię „Pobrzeża” można określić następująco: Region — szansą ludzi, ludzie — szansą regionu. Koszalińskie i Słupskie to niezły kawałek Polski, jej od dawna integralna część. Ale mamy swoje sprawy, absolutnie nie przeciwstawne ogólnokrajowym, swoje doświadczenia, swoje — całkiem realne — nadzieje. Po to, aby sensowniej i lepiej żyć, musimy dokonać mądrej, krytycznej syntezy naszych dotychczasowych dzieł. Musimy być publiczystycznie obecni teraz. Musimy wreszcie, bo nikt inny za nas tego nie zrobi, współokreślić prognozy rozwoju. Nie stagnacji, nie regresu, choć o takie alarmistyczne myślenie jest łatwo. Tym łatwiej, że niemal każde województwo (region) przynajmniej dziesięć lat temu miało swój program, jak się potem miało okazać — bardziej romantyczny niż

realistyczny. Fazy jego załamywania się były szybko zauważalne. I im więcej pogody i podniosłości towarzyszyło ówczesnemu prognozowaniu, tym więcej gorczy rodziło się w chwili doznawania zawodu.

Nas przy tym nie było. Ani to pociecha, ani megalomania. Nie wiem, czy byliśmy w stanie wpłynąć na tok dziejów; wiem, że bardzo byśmy się o to starali, że jako grupa pracowników i współpracowników mielibyśmy tę chwilę niezbędną na głębszą refleksję, trzeźwiejszy, nie gorączkowy, osąd rzeczy. Prawda jest, że reagujemy, bo powinniśmy, na wydarzenia, ale naszą szansą jest odnoszenie się do zjawisk, procesów tworzonych przez fakty.

Trwa i będzie trwał nieprzerwanie proces racjonalnego zagospodarowywania Środkowego Wybrzeża. Nie wiem, czy zawsze będzie się tu podejmowało najlepsze decyzje społeczne, gospodarcze, kulturalne. Wiem, że już nie można podejmować złych, nie przemyślanych. Być przy tym, współuczestniczyć, uruchamiać obywatelskie myślenie — to także powinność pisma terenowego, zwłaszcza tygodnika, miesięcznika, skoro — jak wiadomo — „gazeta żyje tylko dzień”.

O czym pisać? O tym czego jeszcze w sobie nie potrafiliśmy wykształcić — o kulturze politycznej. O bitwach na argumenty, a nie na pięści, o starciu racji, a nie sił porządkowych z demonstrantami. Funkcjonuje niezwykle egoistyczne, wygodne mniemanie o winie „ich”, a nie „naszej”. Aparat władzy najchętniej zmieniliby krnąbrne, niewdzięczne społeczeństwo, ono zaś żywi te same uczucia względem wielu ośrodków władzy. Trwa zupełnie jałowy spór na temat „od kogo zacząć”, a tu przecież nie ma priorytetu. Można być zgryźliwym i głośić, że każde społeczeństwo ma taką władzę, na jaką zasługuje, ale to też niczego nie załatwia. Faktem jest bowiem, iż o wzajemnych stosunkach rządzących z rządzącymi w największym stopniu decyduje tak zwany szczebel najniższy i średni: gmina, województwo, gdyby pozostać przy strukturach administracyjnych. Im mniej poczucia odpowiedzialności i rzeczywistości wynosi ze swojej praktyki naczelnik i wojewoda, urzędnik gminy i urzędu wojewódzkiego, tym mniej można liczyć na racjonalne postępowanie centrum. Jeśli nie z innych, to choćby z tej przyczyny, że jego postanowienia mogą być oparte na fałszywych przesłankach terenu. A to też mieści się w kategoriach kultury politycznej.

Nie jestem przeciwnikiem, wręcz przeciwnie — gorącym, zwolennikiem mądrej sprawnej władzy centralnej. Ale znam (nie różniąc się zasobem tej wiedzy od wielu, wielu Polaków), przykłady świadomego dezinformowania, podpuszczania czy wręcz prowokowania centrum w imię fałszywie pojmowanych, lokalnych interesów.

Ekonomiczne i społeczne skutki takiej twórczości bywały niekiedy zabójcze. Również więc i po to jesteśmy potrzebni, żeby stwarzać szanse publicznej rozmowy o naszych rzeczywistych potrzebach i realnych możliwościach; po to, żeby nie lansować łatwych, iluzjonistycznych haseł. Epoka zcentralizowania decyzji gospodarczych i społecznych kończy się. Teren musi brać na siebie lwią część odpowiedzialności za los Polski i Polaków. Demokracja, która jest naszą jedyną do przyjęcia formułą — czyli równość praw i obowiązków, tzn. partnerstwo — będzie się urzeczywistniała również przez ten składnik, jakim jest prasa terenu.

Wcześniej niż później musimy się usamodzielić. Powstanie nie znana nam dotychczas sytuacja psychospołeczna. Winy i zasługi będzie się rozdziałało nie według łaski centrum, a według uznania najbliższego otoczenia. W tym, niewątpliwie długotrwałym i nie pozbawionym konfliktów, procesie — oby konsekwentnym — prasa terenowa musi spełnić pozytywną rolę. Będzie jeszcze bardziej potrzebna niż dotychczas, pod wieloma względami nie do zastąpienia przez prasę centralną, która swojej pozycji nie musi ani tak zdobywać, ani tak bronić, jak my. Może się więc zdarzyć i tak, że pismo regionalne nie zostanie zaakceptowane przez Czytelników, bo nie znajdują w nim swoich spraw. Ale bardziej skłaniam się ku przekonaniu, że dobre czasy dopiero przed nami. Czekaj nas ciężka praca, łatwej zresztą teraz nie ma.

ZBIGNIEW MICHTA
Fot. GABOR LÖRINCZY

3

KONTAKTY
9 | 1983

słowo w opałach



DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Zaczęło się jeżdżenie tam i z powrotem (— Każdy chciał, żeby przeżyć sprawę forsa). Wreszcie uzbielał wszystkie niezbędne podpisy i pieczątki. Materiały zaczęły nadchodzić, lecz... do magazynów Wojewódzkiego Związku Inwestycji Rolniczych. Kamienista jest droga do milionów. Znowu trzeba było stoczyć walkę, gdyż WZSR chciał położyć rękę na tym, niemal spadającym z nieba, podarunku. Monity, pisma, pieczątki (— Tu kwiatek, tam kwiatek...).

Budowa ruszyła z kopyta. Bez przerwy pracowało na niej co najmniej dziesięciu ludzi (— Płaciłem po pięćset, a później i po tysiąc złotych dziennie). Przy robotach murarskich dużo pomógł ojciec Leszka, który swego czasu dorabiał (na nauki pięciorga dzieci) na budowie. Konstrukcje stalowe stanęły w błyskawicznym tempie kilku miesięcy. Robota wrzała, a portfel dostał galopujących suchot. Leszek zmuszony był ponownie zapukać do bankowego sejfu. (— Wpierw wyrzuciłem z niego za drzwi, ale po interwencji otrzymałem milion czterysta tysięcy, i to na pięć procent). Można było założyć centralne ogrzewanie — tym zajęła się wyspecjalizowana spółdzielnia z Elbląga, która również dostarczyła piec. Szklenie też poszło gładko — nie było jeszcze wówczas problemów ze szkłem.

W roku 1981, jak przewidywał plan, stanęły trzy szklarnie, każda o powierzchni 600 m kwadratowych, oraz „rozmażarka” do wysiewu nasion — 200 metrów kwadratowych; także dom mieszkalny z trzema garażami. Prócz tego — sześciopiętrowy staw, który Leszek zdecydował się wykopać, gdyż studnie głębinowe kosztowałyby go prawie 400 tysięcy, a tak wyszło taniej (100 tysięcy) i, na dodatek, będą rybki.

Przyszła wiosna roku 1982. Wedle umowy kontraktacyjnej — na wiosnę powinny były trafić do Spółdzielni pomidory — 108 kwintali, a tymczasem trafiło zaledwie 31,2. „Ha, ha, pomidor”, śmiali się miejscowi sceptycy, którzy, gdy Leszek brał kredyt, wróżyli mu, że pójdzie siedzieć. A kiedy szklarnie stanęły, powiedzieli: „I tak nie się mu nie urodzi”. Wykrakali. Uciechę miały też „Kontaktowe” „Śpięcia”: żartowały z ogrodnika, który z trzech szklarni wywiózł tylko taczkę pomidorów. Do dzisiaj ludzie wątpią, czy Leszkowi uda się sztuka w przyszłym roku.

— Mało doświadczony, nie chodzi koło interesu — usłyszałem w gminie — a w ogrodnictwie każda godzina to ciężki pieniądź.

— Jego żona od roku siedzi w Stanach — wypowiedział się kolega Leszka — a on lata po świecie bardziej za innymi sprawami niż za szklarnią.

— Prażmowski to nie ogrodnik — autorytatywnie stwierdził fachowiec ze Spółdzielni Ogrodniczej — nie bardzo umie i nie bardzo chce.

— Poślizg był, złożyło się na to wiele spraw — przyznaje Leszek, z którym szukałem się od dwóch dni: gdy ja byłem u niego, to on biegł po Łomży za kolankami. — Zaczęło iść ospale z powodu braku pieniędzy. Trzeba mieć tyle forsy, by roboty została doprowadzona do końca, a ja wyszedłem z założenia: mniejszy kredyt i szybsza spłata. To błąd! Zaczęło mi się rwać. Budowanie na podstawie kosztorysu było fikcją. Ceny państwowe nie odpowiadają rzeczywistości. Za wszystko musiałem dwa, trzy razy więcej płacić. Były trudności ze zdobyciem kitu, farb; teraz nie mogę dostać kolanek do rur.

— Nie mieliśmy odpowiedniej ziemi — dodaje ojciec Leszka — wzięliśmy taką, jaka była, czyli glinę. Na żyto czy kartofle glina nadaje się, ale nie na pomidory.

— Ogórki mi popaliło, pomidory dostały jakieś choroby, a nie było odpowiednich środków ochrony roślin — wylicza dalsze przyczyny falfaktu Leszka. — Wiadomo, lekarstwo (moja specjalność) to nie ogrodnictwo. Teraz wziąłem fachowca z branży. Ułożyliśmy program działania na cały rok. Głupie gadanie, że się nie interesuję, włożyłem w to dużo energii i pieniędzy. Radowałem się każdego dnia, że coś powstaje, i miałbym to teraz zaniedbać? Jeszcze udowodnię, na co mnie stać. Wiosną zapraszam do siebie na pomidory. Muszą być! Chyba że zdarzyłaby się jakaś klęska. Odpukać.

— Nie widzę w tej chwili w szklarni żadnej rentowności — stwierdza Leszek na początku grudnia 1982 roku, już po wysianiu nasion pomidorów pod wiosenny zbiór, i wyliczył: — Na karku wisi mi pięć milionów kredytu do spłacenia wraz z odsetkami, czyli 630 tysięcy złotych; węgiel (300 ton) będzie mnie kosztował 750 tysięcy. Razem: 1 380 000 złotych, jeszcze dojdzie światło, nawozy, nasiona, środki ochronne roślin... *

ADAM JERZY SOCHA

badylarzem być!

— A zysk? — pytam.
— Jedna szklarnia powinna dać minimum cztery tony pomidorów, przeciętna cena za kilogram — 100 złotych...

— Według mnie: 150 złotych.
— Ja liczę po 100; to będzie 1 200 000 plus 300 000 za salatek, czyli w sumie: półtora miliona złotych zysku. Dobrze będzie, jeśli wyjdę na zero.

Jak to? Czyżby Polski Komitet Pomocy Społecznej miał w najbliższym czasie przejąć na własny garnszek wieczorajszych milionerów? Tego samego zdania o nierentowności szklarni są i inni, obeznani w sprawie.

Pracownik Banku: — Jeszcze niedawno opłacalność była duża, bo koszty wynosiły tylko 350 000; w tej chwili półtora miliona.

Specjalista ogrodnik: — Warzywa nie kalkulują się ogrodnikowi, będzie dokładał do interesu.

by nas i zarobił jeszcze kilka milionów.

Czyli wariant z „zebrakiem” odpada. Chodzi tutaj o coś zgoła innego. Warzywa się nie kalkulują, gdyż na nich szybko nie można się odkuć, tak jak np. na kwiatkach.

— Na goździkach można było zarobić — dowiedziałem się z kół zbliżonych do sfer ogrodniczych — już kilka lat temu, milion na czysto, a teraz?

— Gdyby właściciele szklarni nie byli uzależnieni od węgla, przydzielanego tylko na warzywa i pieczarki — poinformowano mnie w Spółdzielni Ogrodniczej — wszyscy prze-

nie komisji. „No, cóż — dumacz się komisji — zmarły nie wiedzieli, czemu”. Gdy tylko komisja odjeżdża, wówczas na gwałt sadzi się flance kwiatów i kabza pęcznienie miło. Można też nie czekać aż skończy się pomidory, które owocują jeszcze przez lato, zdać ile stoi umowie i — won ze szklarni.

Jedna ze spółek wpadła na inny, genialny sposób: między pomidorami posadziła gerbery. Żeby i Bogu i cesarzowi. Forse zgarnął mączkę (szkodnik). Co gorsze, koszty pielęgnacji ponieśli i inni „szklarze”, którzy odkupowali sadzonki od owej spółki, w tym nasz bohater — Leszek Prażmowski.

Wreszcie: można obejść Spółdzielnię, gdy ma się małą szklarnię, przez kupienie węgla od chłopów. Czy do tych sztuczek będzie się u-



rzuciliby się na kwiaty, które przyniosą trzy, cztery razy większe zyski niż warzywa.

— Ale przecież od grudnia do marca szklarnie stoją puste — replikuje Leszek, a wtórnie mu dyrektor Banku — Pod koniec czerwca kończą się pomidory szklarniane, mógłbym wówczas znowu wprowadzić kwiaty. Nie wolno mi tego zrobić. Gdyby Spółdzielnia zauważyła u mnie kwiaty, musiałbym z miejsca oddać cały kredyt.

— Zgoda — przystała na taki argument Spółdzielnia. — gdyby to

ciekał również nasz debiutant branży szklarniowej? Nie posadzę go o to, ale bym się zdziwił, gdyby nie skorzystał z okazji. Jeżeli jedna gerbera kosztuje 170 złotych, a róża 250, tylko dureń będzie bawił się w filantropię i zaopatrywał rynek w warzywa. Relacja, co wprost zmusza do takiego postępowania. Państwo puściło tutaj cenę na żywioł, wedle starej maksymy: epoki XIX-wiecznego leseferyzmu. „Niech się ceny wysuną i wróć do normy”. Tylko czym kosztem? Do tego dochodzi pogoń za wielką forsa. Dlatego goździki w popularnym imieniu już po kilku godzinach kupienia przypominają śnięte rybki, miesiąc stoją w zamrażarkach. Do kwiatów trzeba mieć duszę artysty i takiego ze świecą szukać w Łomżyńskim.

Leszek Prażmowski zapewne nie chciałby — czego nie można mieć mu za złe — kupić bildziaka lotniczy na Jamajkę jak najszybciej, aby nie spłacał, czy nie uważa przejęć robków właścicieli szklarni za zbędną wybijanie odrzekł: — Każdy motywał zarobić. W moim miasteczku oferowałem za tysiąc złotych dniówkozmow obibeków to nie skusiło. W ogrodzie natomiast jest wielkie ryzyko. Wystażył się wirus i panoszą się kolosopodobne straty. Ja zarobię, lecz ile praw kwiaty tym się napracuję, ile nocy nie dogadają śpię... Masz pan Spółdzielnię w Ch. Komitroszczy: trzydziestu pracowników społecznych ponad milion strat. Muszę dużo zainwestować, aby nie stracić. Muszę dużo zainwestować, aby nie stracić. Mam taki cel: zdrowia nie stracię, a co po sobie zostawię.

— Jedna szklarnia będzie pracować wala na opał — planował przy mnie ojciec Leszka, który dogląda szklarnie pod ni wraz z córką (lat 21, technik g. Mechaniki) i zięciem (lat 23, słuszanin mechanik) — druga na podatki, dzeniu trzecia na nas.

Nie taki podatek straszny! Fiskal wyliczył mi, ile będzie płacił Leszek Prażmowski: 56 441 złotych. Gdyby w jego zespole był niewidomy baczownik ZBoWiD-u, podatek byłby jeszcze mniejszy. Przy wywiązaniu się z umowy kontraktacyjnej płać się tylko 50 proc. Podatku nie obciąża się od zysku, a tylko od powierzchni użytkowej szklarni! Ale tylko badylarzem być! Badylarzem być! W związku z tym składam państwu: „Urzejmie proszę Kochane Państwo Socjalistyczne, by dało pieniądze na budowę szklarni; w tym mian zobowiązuję się płacić podwójny podatek. Proszę swą miłoty tym, że słuchając w radiu „Słońce Jamajki” nie sposób się palić, a jestem raczej błądy. Ponadto nadmieniam, że jestem biedny, le nie głupi”.

Póki jednak nie dorobi się własnych szklarni, przyjmuję zaproszenie od Leszka Prażmowskiego wiosenne pomidorki.

Fot. GABOR LÖRINCZ

Nazwisko bohatera reportażu zostało zmienione.



Brzmi to jak w starej anegdotce: Mosiek tylko dlatego nie zbankrutował, dokładając do interesu, że w niedzielę nie otwierał sklepu. Policzmy jeszcze raz, nim zaczniemy powoływać Fundusz Ocalenia Właścicieli Szklarni. Leszek Prażmowski wziął pożyczkę w 1979 r., jej spłatę ma rozłożoną na 10 lat. Przez pierwsze dwa lata nie jest niepokojony przez Bank. Przy obecnej inflacji odda połowę tego, co otrzymał. (Jeszcze niedawno państwo było takim hojnym wujkiem, że umarzalo część kredytu).

— Gdyby Prażmowski w tej chwili sprzedał swoje szklarnie — powiedziano mi w Banku — spłacił-

były chryzantemy czy frezje, ale właściciele szklarni interesują tylko goździki; dają największe zyski, a zużywają najmniej energii cieplnej. Goździki uchowa się nawet przy temperaturze plus pięć stopni, gdy pomidor potrzebuje stałe ponad dwudziestu. Goździki są kwiatami dwuletnimi, a nie kilkumiesięcznymi.

Ze tak jest, stwierdzi każdy, kto przynajmniej dwa razy w roku kupuje kwiaty. W kwaciarniach królują nieśmiertelnie goździki — szklarniowa chałtura. Jak to się dzieje, skoro Spółdzielnia nie daje na kwiaty węgla? Jednym ze sposobów jest posadzenie pomidorów, po miesiącu zmożenie ich i zwola-

umacz
wiedzi
ga odje
sady su
znienie
aż sko
owocu
le stoi
ni.
na inn
omidora
y i Bog
maczli
ty paze
szklarze
i od owe
er — Le
Spółdzie
szklarze
chłopów
zie się u
utant
posadz
wił, gdy
i. Jeże
0 złotych
wędzie b
opatryw
acja ce
o postę
utaj cen
aksmym
teferym
a i wró
koszten
wielk
populac
a mówią
zinach
ciała. O
kilkum
miesią
nie odby
rybują
się już
żadne
jej po
siedze
nia.
kach. D
ę artyst
w Łom
N
Nowy sekretarz Komisji, pani
Elżbieta Dąbrowska, powołana
została na to stanowisko w
zapewkwetniu tego roku. Problem był
e moźnagiacy, bo Komisja bez sekretarza
upić bildziałac nie może, a tymczasem na
ajszybciewarstwilo się sporo zaległych spraw.
uważa zPrzejęcie tej funkcji przez młodą,
niz za zhennergiczną osobę pozwalało poza
dy mozym mieć nadzieję, że coś w koń
ku ofercu zmieni się na lepsze. Pierwsze
dniówkroznowy między panią Dąbrowską,
W ogrodęj przełożonymi z Zespołu Opieki
o WystaZdrowotnej i prezydentem miasta
kolosalodoby się już w początkach lutego.
ile prW kwietniu wszystko wydawało się
y nie ddegadane, dopięte na ostatni guzik.
ię w Ch Komisja jest w zasadzie ciałem
wnikówspolecznym. Na mocy rozporządze
dużo znia Ministra Zdrowia i Opieki Spo
ko i mofecznej w jej skład wchodzą: sekre
ania, Zarz, przewodniczący, wiceprzewo
goźdźniczący i członkowie. Sekretarz o
0 złotychtrzymuje za swą pracę ryczałt, w
nie strawysokości 600 złotych miesięcznie,
przewodniczący — 70, a pozostałe
zie pracospo po 45 złotych od posiedzenia.
przy mni(Od tych kwot odliczany jest jesz
da szkłaże podatek)
technik g. Małe sprstowanie — tak powin
23, ślusar być. Po którymś z kolei posie
odatki, dzeniu poproszono panią Dąbrowską
o wypłacenie bieżących i zaległych
(jeszcze za poprzedniego sekretarza)
ny! Fisk
cil Lesz
ch. Gdy
lomy ba
ek byli
ywiązani
nej pla
nie ob
od v
arnil! Ac
adylarze
ładam p
Kocha
y dało
rni, w z
cić naw
swą m
w rad
sób się
y. Pona
biedny,
się wła
zaproz
kiego
LÖRINC
zu zosta

Statystycznie rzecz biorąc — mógłbym pić. Teoretycznie — mógłbym pić znacznie więcej. Codziennie zalewać się w trupa za swoje, a jak już nie starczy — cudze pieniądze. Wracać do domu nad ranem, katować żonę i piątkę dzieci zrobionych kiedyś przypadkiem, w pijanym widzie. Wszystko to mógłbym, bo jak przystało na statystycznego alkoholika, miałbym pełną świadomość tego, że jestem normalnym, statystycznym Polakiem. Nie poszedłbym więc na „odwyk”, bo ktoś czuje taką potrzebę, a na to, co mogliby mi zrobić, wypiałbym się, bo nic nie mogą. Któregoś dnia tak skatowałbym żonę, że wreszcie odważyłaby się pojsć prosić, żeby mnie zabrali. Sąd wydałby wyrok i... piłbym dalej, bo moja kolejka do zakładu wypadaby dopiero za dwa-trzy lata. Może zapilbym się w tym czasie na śmierć i uwolnił od kłopotu zatroskane państwo i katowaną żonę. Gdyby to zdarzyło mi się teraz, w Łomży, mógłbym pić i bez obawy, że ciążyłby nade mną nawet ten „zawieszony” wyrok.

Pić w państwie polskim wolno. Wolno się też upijać. Prawo do butelki alkoholu to jedna z tych wolności, które, choć są w gruncie rzeczy złudzeniem, niejednemu dają poczucie małej bezkarności. Stać się natogowcem, to, co prawda, spaść z drabiny społecznej w samo błoto, ale niek niecznie być od niej odratowanym. Alkoholika nie wolno pozabawić wolności bez jego zgody. A tylko w takim wypadku można go poddać leczeniu w zakładzie zamkniętym. Istnieje jeszcze jedna szansa. Z prośbą o ubezwłasnowolnienie powinien wystąpić ktoś z rodziny bliźni. Nie można jednak zwracać się bezpośrednio do sądu. Od — wstępnego niejako — rozpatrywania tego typu podań jest w państwie polskim instytucja zwana Komisją Społeczno-Lekarską ds. Przymusowego Leczenia Alkoholików. W państwie polskim jest, w Łomży — by popularnie, a mówiąc ściślej — jakoś działających. Od kilku miesięcy nie odbyły się już żadne jej posiedzenia.

Nowy sekretarz Komisji, pani Elżbieta Dąbrowska, powołana została na to stanowisko w zapewkwetniu tego roku. Problem był e moźnagiacy, bo Komisja bez sekretarza upić bildziałac nie może, a tymczasem naajszybciewarstwilo się sporo zaległych spraw. uważa zPrzejęcie tej funkcji przez młodą, niz za zhennergiczną osobę pozwalało poza dy mozym mieć nadzieję, że coś w końcu ofercu zmieni się na lepsze. Pierwsze dniówkroznowy między panią Dąbrowską, W ogrodęj przełożonymi z Zespołu Opieki o WystaZdrowotnej i prezydentem miasta kolosalodoby się już w początkach lutego. ile prW kwietniu wszystko wydawało się y nie ddegadane, dopięte na ostatni guzik. ię w Ch Komisja jest w zasadzie ciałem wnikówspolecznym. Na mocy rozporządze dużo znia Ministra Zdrowia i Opieki Spo ko i mofecznej w jej skład wchodzą: sekre ania, Zarz, przewodniczący, wiceprzewo goźdźniczący i członkowie. Sekretarz o 0 złotychtrzymuje za swą pracę ryczałt, w nie strawysokości 600 złotych miesięcznie, przewodniczący — 70, a pozostałe zie pracospo po 45 złotych od posiedzenia. przy mni(Od tych kwot odliczany jest jesz da szkłaże podatek) technik g. Małe sprstowanie — tak powin 23, ślusar być. Po którymś z kolei posie odatki, dzeniu poproszono panią Dąbrowską o wypłacenie bieżących i zaległych (jeszcze za poprzedniego sekretarza)



nalesności. Zgodnie z przyjętym zwyczajem poszła do szpitala, by pobrać z kasy 500 złotych. Tam dopiero okazało się, że jest to niemożliwe, ponieważ do tej pory nie ma decyzji o jej zatrudnieniu. Mało

powiadomień, protokołowanie posiedzeń... Nie jest to praca nie do wykonania, gdy robi się ją z dnia na dzień. Niestety, wraz z małym biurem, odziedziczyła pani Dąbrowska plik spraw nie załatwionych. Do-

ALEKSANDER WRONI ZEWSKI

a m o k

tego, nie ma decyzji odwołującej poprzedniego sekretarza.

Ostatni raz Komisja zebrała się w sierpniu. Od tej pory pani Dąbrowska nie wysłała już żadnego powiadomienia o terminie naszego posiedzenia. Uważa, że byłoby jej wstyd spojrzeć w oczy ludziom, którzy i tak w gruncie rzeczy pracowali z nią „za frajer”.

Nie chodzi w tej sprawie tylko o pieniądze. Zdarza się przecież nieraz, że człowiekiem kieruje coś więcej niż zwykła miłość do mamony. Ludzie, którzy decydowali się na podjęcie tej pracy, od początku wiedzieli, że jest to działalność społeczna. Teraz, gdy mówią, że rezygnują z niej, o pieniądzach wspominają na końcu. Zniechęciło ich co innego. Zupełna obojętność władz — brak jakiegokolwiek reakcji na starania pani Dąbrowskiej.

Do obowiązków sekretarza Komisji należy utrzymanie w porządku całej dokumentacji, wysyłanie

datkowym obciążeniem są też zgłoszenia dotyczące spraw sprzed lat. Zgodnie z obowiązującymi przepisami nie można ich bowiem prowadzić na bieżąco. Jeżeli komuś nie pomogło leczenie zamknięte i po jakimś czasie znowu zaczął zaglądać do butelki, sprawę tę uważa się za nową. Cała dokumentacja, a więc informacje z zakładów pracy, milicji, zeznania świadków itp. należy gromadzić od początku. Stara — trafia do archiwum. Nikt nie interesował się tym, czy nowy sekretarz radzi sobie z pracami kancelaryjnymi. Nikt nie zapytał, czy chciałyby być wprowadzona w swoje obowiązki. A problemów z tym było dużo, tym bardziej że należało jeszcze umieć pogodzić to z normalną pracą zawodową. Na dodatek pojawił się nowy kłopot. Ubyło kilku członków Komisji. Trzeba było zwrócić się o powołanie nowych. Zrobiła to Napisala też, opierając się na zarządzeniu Ministra Zdrowia

i Opieki Społecznej z dnia 19 kwietnia 1961 roku, prośbę do prezydenta miasta o powołanie jej na pół etatu lub przydzielenie kogoś do pomocy w prowadzeniu dokumentacji. W jednej i drugiej sprawie jedyną odpowiedzią było milczenie.

Najprościej byłoby całą odpowiedzialnością obciążyć prezydenta. To przecież właśnie jemu, zgodnie z wszelkimi przepisami podlega Komisja. On więc powinien podpisać decyzję o zatrudnieniu, powołać nowych członków, zdecydować, czy można dać sekretarzowi pół etatu. Tak by było, gdyby to, co jest regulą w całym kraju, było nią i w Łomży.

Przed kilku laty — tak pod względem formalnym, jak i faktycznym — Komisja podlegała pod Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Po reformie administracyjnej obowiązek opieki nad nią przejął prezydent. On też finansował działalność, ustalał składy Komisji. Z czasem jednak, wskutek znacznego obciążenia Urzędu Miasta innymi obowiązkami, tego typu podopieczny stawał się coraz bardziej kłopotliwy. Wreszcie nadarzyła się okazja pozbycia się go. „Weisnieto” Komisję Wojewódzkiemu Ośrodkowi Opieku na Społeczno podległemu Wydziałowi Zdrowia Urzędu Wojewódzkiego. Szybko jednak okazało się, że nie było to najszybsze posunięcie. Przede wszystkim — zginęła gdzieś po drodze... odpowiedzialność. Powstała bowiem sytuacja paradoksalna. Formalnie Komisja w dalszym ciągu podlega Urzędowi Miasta. Niemal jak anegdota brzmi fakt, że większość zainteresowanych — łącznie z Wydziałem Zdrowia — identyfikuje Komisję ze Społecznym Komitetem Przeciwalkoholowym, który ma z nią tyle wspólnego, co piasek z nosem. Fikcyjnie czy nie, ale podwieszona jest pod Wydział Zatrudnienia.

Co może w takiej sytuacji prezydent? Najwyżej zaopiniować podanie i przesłać je wyżej oraz załatwić sekretarzowi kalkę i papier. Finansowanie działalności Komisji leży już w gestii Wydziału Zdrowia (podobno pieniądze nie stanowią tu żadnego problemu — jest ich tyle, że aż nie ma ich kto brać). Najwięcej do powiedzenia na ten temat powinien więc mieć wojewoda Mioduszeński. Okazuje się jednak, że scedował on ten obowiązek na dyrektora Wydziału Zdrowia, dra Znosko. Ten zaś wyjechał właśnie do Moskwy i — przekazał wszystko panu Brodzickiemu. Pan Brodzicki o niczym nie wie. Obowiązki po dr. Znosce przejął na krótko, jest inspektorem ds. lecznictwa i rehabilitacji, w temat nie został wprowadzony. Nie ma powodów nie wierzyć panu Brodzickiemu. Kto jest w takim razie za to wszystko odpowiedzialny? Dr Znosko wyjechał do Moskwy w październiku, sprawa ciągnie się w zasadzie już od kwietnia. Trudno szukać winnego w całym Wydziale Zdrowia. Jest to instytucja tyleż duża, co anonimowa. Tak czy owak sprawę trzeba jakoś załatwić. Na początek proponujemy rozstrzygnąć, kto w tym układzie ma prawo podjąć decyzję. I przypilnować tego. A potem ustalić rozsądny — życiowy przede wszystkim — podział kompetencji między Urzędem Miejskim a Wojewódzkim. I przestrzegać go.

Fot. GABOR LÖRINCZY

interwencje

5
KONTAKTY
9 I 1983



Stałem, otworzyłem oczy, szeroko — było szaro. I nagle ujrzałem jasnobieli! Stałem dalej, mówił Hoang, a przy mnie rozkwitały jabłonie, potem inne drzewa w głębi sadu, drzewa wzdłuż ulic, spocona świtem trawa w szparach betonowych płyt. A musisz wiedzieć, mówił Hoang Ngoc, że jeszcze miałem pagodę pod powieką; cichą, w mgiełkowych oparach Perfumowej Rzeki, pełną tajemnicy.

Musisz wiedzieć, że Hoang Ngoc Huu uczynił wtedy wielki krok znad Song Huong, Perfumowanej Rzeki, pod rozkwitającą majową jabłonią. Gdy się zdziwisz nieruchomej pozie lub zamajaczy ci postać z dłońmi opartymi o kolana, to muszę od razu wyjawiać, iż są to obrazy powitania nowej ziemi i pożegnania rodzinnej. I jeszcze powinienes wiedzieć, że Hoang ich nie pokaże. Możesz oglądać szarą toń Ciemnej Rzeki, łaki pod Brokiem i śnieg jak puch anioła; możesz je dotknąć, poskrobać farbą paznokciem, ale tego, co powitał i pożegnał Hoang, nie zobaczysz ani z bliska, ani z perspektywy. Tych obrazów nie zamykają żadne ramy, brak im płótna, nikt jeszcze nie wytoczył żywicy z potężnego drzewa, by uczynić z niej biel, fiolet, brąz o odcieniu złota. To wszystko na razie tkwi w Huu.

Huu pochodzi z miasteczka Hue, które przecina Perfumowa Rzekka. Białą majową jabłonią zobaczył po raz pierwszy dwanaście lat temu. Przed rokiem zamieszkał w mieście Brok, które łagodnym zakolem obejmuje rzeka Bug. Huu jest malarzem. Namalował kilkadziesiąt obrazów, ale blejtramu pod obraz powitania i pożegnania nie rozciąga. Uczyni to, mówi, gdy spokojna Song Huong pogodzi się w nim z wiosennym narowem Bugu, gdy pagodę otoczą podbrokowe sosny. Huu wie, że kiedyś tak się stanie.

— Wiele we mnie cierpliwości — mówi Huu — chęci i serca. Bo musisz wiedzieć, że ludzi znad Perfumowanej Rzeki zrodził smok: są wytrwali, odważni, cierpliwi. Ale jest w nich też wiele otwartości, gościnnego serca, bezpośredniej sympatii.

A z tym Huu spotkał się również na nowej ziemi, pod rozkwitającą jabłonią, w nadbużańskiej dolinie.

Hoang Ngoc Huu, Wietnamski znad Perfumowej Rzeki, potomek legendarnego smoka, w małym domu nieopodal Bugu zastanawia się nad serdecznością ludzi. Chciałby to nazwać inaczej, ale brakuje mu słów. Tak. Matka Huu, która nie mogła znaleźć zajęcia i jedynie od czasu do czasu uczyła w prywatnych szkołach — nie żyje. Ojciec Huu, który miał się handlu, trenerki, prowadził szkołę, także nie da mu już ojcowskiej wskazówki. Zginęli oboje. Nie wie, jak to się stało. Nie wie nawet dokładnie, kiedy; wojna. Starszy brat Huu, Toan, poszedł w dżunglę. Zginął. Nie wie, jak to się stało; nie wie nawet dokładnie, kiedy. O siostrze Nhoang nie wiedział nawet tyle. Teraz wie: podobno ocalała. Podobno; taką wieść przywiózł mu przyjaciel. Huu widział ich wszystkich ostatni raz, gdy miał dziesięć lat. Wysłali go wtedy do Hanoi, by się uczył. Dwa i pół roku z lat liceum i studiów spędził w dżungli. Nie z karabinem — z książką i zeszytem. A teraz, w kraju ze śniegiem jak puch anioła, wcisnięty w fotel, zastanawia się nad serdecznością.

— Miałem szczęście do ludzi — mówi Huu. — Ci, których ja spotkałem, byli zawsze serdeczni. Jak dobra Pani Tien, która wysłała ptaki, by biednej sierocie pomogły oddzielić duże ziarno ryżu od małego; jak Pani Dobroczyzna, która w porze zenitu — gdy strudzony wietnamski chłop odpoczywa w cieniu — czuwa nad służkami, pomaga zebrać chleb z mętnej wody. To dziwne, ale musisz wiedzieć, że w kraju dzieciństwa Huu anioły mają zawsze postać dziewczyny lub kobiety.

Tu spotkał również amorki, zobaczył Archaniola. Bo w tym kraju, nad Bugiem, mówi Huu, serdeczni są wszyscy. Wystarczy spojrzeć na Józefa Maciocha, jego teścia; na twarz wyraźną, szczera, otwartą, przygarniającą. To teraz najbliższa krew Huu. Nad Perfumową Rzeką najbliższej krwi już nie ma. A jeszcze bliższa krew to dziewczyna ciemnowłosa, o ciepłe w rysach, miękkim głosie, który przypominał rano, by Huu wyjechał po nią do autobusu, gdy ten przywiezie ją z pracy. Więc Huu, ciągnąc legendę o aniołach znad Perfumowej Rzeki,

WŁADYSŁAW TOCKI

H U U Z N A D P E R F U M O W E J R Z E K I



rzucił nagle wzrok na cykający budzik, poderwał się z uśmiechem. Po chwili „maluch” toczył się żółtym tempem na oblodzonej zwirówce, a za pierwszym zakretem wylądował w rowie. Zakląłem. „Tylko twoje go, Huu, drzewa potężnego żywica (z której serdeczni ludzie robią farbę, aby pokryć barwaną twą paletę) brakowało. Nie sądzisz Huu?” — pomyślałem. Huu milczał. Wypchaliśmy mozolnie pudło na drogę, a Huu w pół godziny później, gdy krew jego najbliższa, dziewczyna ciemnowłosa, siedziała już naprzeciw nas, powiedział: — Tam, nad Song Huong, Perfumową Rzeką, kobieta jest bardzo ważna. Nie w praniu, rodzeniu, gotowaniu ryżu. Tam kobietę się ceni, jej głos się liczy.

Ciemnowłosa dziewczynę, która siedzi naprzeciw nas. Huu nazwałby po prostu Tien. Tak byłoby mu łatwiej. Ale mówi — „Boszena” Huu po raz pierwszy przyszedł do jej do-

mu, który jest teraz jego domem, trzy lata temu po mleko. Huu, wielki wówczas pan, wczasowicz, gdyż sprzedał parę kopii religijnych obrazów do Japonii, na Filipiny, do Szwecji i Niemiec, bo wykonał Madonnę Częstochowską dla papieża Polaka i był w wielkim Gdańsku, Krakowie, wielkiej Warszawie, kupił wtedy litr mleka od czterohektarowego gospodarza, Józefa Maciocha, w dwutysięcznym mieście Brok, a w rok później oświadczył się Bożenie Macioch. A musisz wiedzieć, że w mieście Hue, nad Perfumową Rzeką, są najpiękniejsze dziewczyny świata. Nad cichym jeziorem pod miastem Hue rosną bowiem bajeczne kwiaty lotosu. Bajeczne kwiaty lotosu, w brązku, w rosie, zmieniają się w bajeczne dziewczyny. O! Spacerowały one dumnie uliczkami Hue. O! Przystawały zalotnie na łukowym moście nad Perfumową Rzeką. O! Strzegły ich — krok w krok, myśl w myśl — troskliwe matki lub starsz bracia. O! Pani Hoang, powiedziałam Bożenie, pan Hoang mętnie — wykretnie plótł o łakach — bąkach nadbużańskich i wielu różnych rzeczach, gdy wyjaśniał, dlaczego tu chce żyć. Pytałem go o to. O! Panie Hoang, a pana trzyma tu piękna dziewczyna, twoja Tien! Tak, tak.

Tak. Musisz wiedzieć, że w kraju nad Song Huong, Perfumową Rzeką, dziewczyna wymodliła, by Budda zamienił ją w ptaka, gdy surowi rodzice nie godzili się na związek z ukochanym. A on, cierpliwy wędrowiec, serdeczne serce, odnalazł ją i pod tą postacią. Tak odrzekł Huu, gdy pytałem, co by uczynił, gdyby nie otrzymał zezwolenia swoich władz na ślub z Bożeną.

Tak. Tamta przeszłość w nim drga, mówi. Huu, legendą usłyszaną w dzieciństwie, podaniem wy czytany w księdze, historią obrosłą mitem. Tamta przeszłość mieni się tradycyjnym kolorem wietnamskim i w sercu, i na płótnie, i w jego wyobraźni: fiolet, brąz, biel, odcień złota, innym niż nasz błękitem. Teraz trzeba mu wielkiej cierpliwości, by zgłębić przeszłość i tajnie najtajniejsze kraju o pięknych nadbużańskich łakach. Bo musisz wiedzieć, że przeszłość nie zawsze musi być serdeczna, ale zawsze jest ogromną księgą. A jego obrazy muszą być jak księgi. Poeta rzecze słowo i widać paletę barw, zdarzenie, sytuację, kłębowisko postaci. On Huu, malarz, musi położyć plamę farby tak, by zaczęła opowiadać. Musi być tajemnica i słowo. Musi być nawet coś więcej niż słowo: przeżycie. Doświadczył już ograniczeń języka; otworzył osiemdziesiątą stronę pamiętnika i nie wiedział, jak oddać to, co myśli, co czuje. Więc wziął gruby bloczek białego papieru i zaczął pisać pamiętnik obrazem: czarną kreską rysika:

„12.08.80. Piec kuchenny, zastawiony garnkami: woń smakowitego obiadu? Ten piec, te garnki, znajdziesz teraz w 1982 w kuchni rodziców jego żony, jego kuchni”.

„13.08.80. Kobiety w luźnych strojach, wśród bajkowej roślinności. Festyn w dniu święta pani Trung, średniowiecznej pogromczynie chińskiego najeźdźcy?”

„4.10.80. Kobieta odpoczywa pod cieniem palmowca”.

Musisz wiedzieć, że Huu przesunął przede mną tylko kartki-obrazki pamiętnika; nieudolny, skrótowny opis pochodzi ode mnie.

Huu przyjechał do kraju o zdumiewającej wiośnie na studia doktoranckie z budowy statków. Gdy już napisał stosowną rozprawę, zaczął malować. Zaledwie pięć lat temu nie interesują go już współczesne fregaty. — Nie mam do nich serca — mówi. — Mam je do pędzla, zwózki siana, rąbania drzewa i całej niekonkretnej krzątany w teściowym gospodarstwie.

Od czasu, kiedy wystawił swe płótna w mieście Brok, w Ostrowi, w wojewódzkiej Ostrołęce, i upomniały się o nie sale wystawowe stolicy, koleżanki pani Bożeny Hoang patrzą na nią jeszcze życzliwiej: nie jest żoną Szweda, ale jest żoną artysty. Wcześniej też nikt, powiedziałam Bożena, nie był uszczypliwy. Huu nie tylko lubi rozprawiać o serdeczności, Huu jest serdeczny. Ludzie, którzy więc zobaczą Huu, natychmiast go lubią. Tak polubił go Józef Macioch, paromorgowy gospodarz, i wcale nie dziwił się decyzji córki. Teraz Huu dziwi ludzi już tylko swymi obrazami. Ba, nawet gdy listonosz czyta: „Hoang Ngoc Huu” — brzmi to dziwnie swojsko.

Fot. GABOR LÖRINCZY

zblizenia



domem, u, wiel- z, gdyż ych ob- y, do ał Ma- papieża Gdań- szawie, cztero- Józefa mieś- oświad- musisz e, nad iekniej- cichym rosną su, Ba- sku, w ajeczne y one 'rzysta- moście Strzegły w myśl si bra- działem — wy- ch nad- rzeczach, nie żyć. Hoang, lewcz- y kraju a Rze- y Bud- y suro- a zwi- erpliwy dnalazł odrzekł uczynił, a swo- y nim slysza- n wy- obrosła eni się amskim jego odcień m. Te- liwości e naj- nadbu- wie- e musi est og- musza słowo je, sy- On plamę wiadać. Musi słowo: ograni- dziesią- dział, czuje, białego niętnik a: zasta- owitego , znaj- rodzi- h stro- inności. Trung, chiń- a pod przes- obraz- rutowy o zd- a dok- Gdy we, za- lat te- współ- do nich o pędz- zewa i iny w t swe strowi, upom- we sto- Hoang tej: nie ną ar- powie- pliwy, iac o leczny. Huu, polubił orgowy l się wi lu- ni. Ba, Hoang ziwnie

Kiedy słońce sięga zenitu, życie cichnie tu i nieruchomieje. Ludzie schodzą z pól. Bawoły kryją się w cieniu drzew. Jest czas sjeści, rozmowy. Siadamy więc na ocienionym ganku zarządu spółdzielni rolniczej w Binh My, znajdującej się o trzydzieści kilometrów od Ho-Chi-Minh, stolicy południa Wietnamu — dawnego Sajgonu. O spółdzielni mówią: jej prezes, Le Van Phu, pełnomocnik powiatu, Pham Vanh Lin, i agronom — Huynh Ngo Dien. Wokół stołu skupia się sporo ludzi, trochę z ciekawości, a trochę w poszukiwaniu cienia, jaki daje dach werandy.

Prezes, pełnomocnik i agronom stanowią kadrę spółdzielni. Kadra musi być doświadczona, wiedzieć, czego chce. Źródłem doświadczenia prezesa jest przede wszystkim wojna. Był oficerem armii narodowo-wyzwoleńczej i dopiero na emeryturze został skierowany do tej spółdzielni w jednym z podmiejskich powiatów miasta Ho Chi Minh. Źródłem doświadczenia pełnomocnika powiatu jest więzienie. Piętnaście lat spędził w saigonskim więzieniu na wyspie Con Dao. Po wyzwoleniu w 1976 roku był sparaliżowanym wrakiem człowieka. — To, że żyję, było dla mnie największym zaskoczeniem — mówi. A doświadczeniem inżyniera jest po prostu saigonska politechnika. Najtrudniejsze dni tamtych lat spędził po prostu nad książką. Wojna, zakodowana w pamięci tamtych dwóch ludzi jako walka i męka, staje dziś przed nim w innym zupełnie kształcie — oto trzeba uprawiać ziemię, odartą jeszcze siedem lat temu z wszelkiej roślinności. Wycięto tu nawet krzewy, wyrównano buldożerami ziemię. Powstał teren zadziwiający — nienaturalnie płaski, pozbawiony drzew. To słynna „żelazna ziemia”, przez kilka lat — za każdy oddech życia — systematycznie smagała ogniem z dział (ze znajdujących się w jej centrum) amerykańskiej bazy wojskowej dwudziestej piątej dywizji piechoty. Przez ten teren nie miał dostępu do Sajgonu nikt.

Pojęcie „żelazna ziemia” jest tu wieloznaczne. Współcześnie znaczy tylko tyle, że przy każdej orce wyciąga się z niej niezliczone ilości drobnych odłamków żelaza. Pojęcie to zrodziło się jednak znacznie wcześniej i znaczyło o wiele więcej. Oto na tej ziemi, gdzie niszczone nawet trawę, nigdy nie udało się zniszczyć jej mieszkańców. Okazali się twardzi jak z żelaza. Kiedy życie na tej ziemi okazało się niemożliwe — zesłi pod ziemię. Powstał tu zadziwiający system tuneli liczących dziesiątki kilometrów, system tak rozległy, że w wybranych miejscach musiano magazynować zapasy żywności dla — zblakanych w nim — ich budowniczych. Są to urządzenia, których funkcjonowanie wymaga wielkiej wyobraźni. Europejczykom ona sama musi wystarczyć, bowiem największym (obok systemu wentylacji, podziemnych studni, urządzeń zabezpieczających przed gazem i zabójczych pułapek) wynalazkiem budowniczych jest to, że zrobili je wyłącznie na wietnamską miarę. Znany moim przewodnikom europejski rekord przejścia tymi tunelami wynosi zaledwie 30 metrów.

W Muzeum Rewolucji w Ho Chi Minh systemowi tuneli poświęcono jedną salę. Są to makiety przejść, rysunki, plany i fotografie. Jest mapa miasta, na której (zaznaczone czerwonymi literami) tunele podchodzą aż do rzeki — Sajgon. Stąd przez cały okres wojny obserwowano miasto i stąd wyruszono do szturm na saigonskie lotnisko. W miejscowości Pha My Hong polscy konserwatorzy przygotowują fragment systemu tuneli jako obiekt turystyczny.

Bujna tropikalna przyroda pokryła tę ziemię nową zielenią; zaczyna znów rodzić. — Substancje toksyczne — mówi agronom — wsiąknęły w tę ziemię. Ciągłe właściwie nie są jadalne, łowione w naszych stawach, krewelki, a niektóre małżeństwa nigdy nie doczekają się dzieci.

Południe różni się od, uspołdzielczonej przed laty, północy kraju. Po wyzwoleniu wkroczyła tu organizacja: zasiedlono aż 50 tysięcy osób, po-



dzielono powiat na strefy upraw roślin przemysłowych, pastewnych, warzyw i ryżu, założono pierwsze państwowe gospodarstwa rolne i spółdzielnie produkcyjne.

— My jesteśmy w sferze ryżu. Nasza spółdzielnia, „Wola Walki”, jest jedną z pierwszych, jakie założono na południu Wietnamu.

Agronom wyciąga notatki. Na podstawie danych chce zilustrować historię dziewięciu zbiorów ryżu, a więc czterech lat istnienia spółdzielni.

Rok 1978: pierwsze zbiory — tylko 680 kilogramów z hektara. Mówi: — Nie starczyło ryżu ani dla nas, ani dla państwa. Wielu opuściło naszą spółdzielnię. Na domiar złego była straszna powódź.

Rok 1979: — Nie zdołaliśmy uprawić całej posiadanej ziemi, 415 hektarów, ale uzyskaliśmy nadwyżkę wielkości 39 ton ryżu. To dla państwa. Rodziny dawnych właścicieli wystąpiły z roszczeniami pod adresem spółdzielni, chciały mieć udział w zbiorach, tak jak kiedyś u swoich dzierżawców. Przepędziliśmy je.

Rok 1980: — Zdołaliśmy przygotować pod zbiór wiosenny zaledwie 104 hektary, a pod jesienny — 122. Za mało. Część ziemi wydzierżawiliśmy jednostce wojskowej.

Rok 1981: — Uprawialiśmy nadal tylko 107 hektarów. Po zapłaceniu podatków każdy z nas dostał 27 kilogramów ryżu miesięcznie, a więc dwukrotnie więcej niż w mieście.

Ryż lubi słońce i wodę, chce opieki ludzkich rąk. Ludzie w Binh My przekształcają pole bitwy w ryżowisko. — To skomplikowane zadanie — mówią moi rozmówcy — trudne i żmudne, wymagające przetrzeżenia łopatami nie wiedzieć ile ziemi, spięcia pól systemem kanałów, stworzenia niezawodnego systemu nawadniania

Prezes, pełnomocnik i agronom zaczynają mówić o — wprowadzonym od ubiegłego roku — nowym systemie zarządzania, skuteczniejszych bodźcach. Odmawiają we wszystkich przypadkach uchwałę nr 100, pod którą kryje się ważna decyzja Sekretariatu KC KPW. Jej mocą wprowadza się indywidualną ocenę pracy ludzkiej, aby każdy, kto osiągnął coś ponad normę, mógł tym swobodnie dysponować: zjeść, przetworzyć lub sprzedać. Dzięki temu systemowi kraj uzyskał w ubiegłym roku zbiory wyższe o milion ton ziarna.

Dziennikarz z dziennika „Nhan Dhan” tłumaczy nowy system tak: oto każdą z prac w wietnamskim rolnictwie podzielić można na osiem faz. Obecnie za pięć z nich odpowiada spółdzielnia — orkę, nawadnianie, dostawę ziarna, nawożenie i ochronę roślin — a za trzy sam rolnik: sadzenie ryżu lub siew, pielęgnację i zbiór.

W Binh My ludzie wspólnie walczą o przekształcenie pól w ryżowiska. To zawsze przerastało możliwości jednego człowieka; zmuszało go do łączenia się, uczyło współpracy.

W Wietnamie minął czas wielkiej wojny i minął także okres pierwszych doświadczeń czasu pokoju. Zarówno w tamtych, jak i tych latach, każdego miesiąca za symboliczną — trzydziestokrotnie niższą niż cena rynkowa — opłatą Wietnamczyk otrzymywał 13 kilogramów ryżu. Gwarantowała mu to jego władza ludowa. Niby niewiele, ale nawet w tym, twarzo przestrzegającym, stałym rytmie dostaw kryje się ważny klucz do zrozumienia zachodzącej w kraju rewolucji. Tam, gdzie zwyciężyła re-

wolucja, dla każdego był ryż. Ta pewność w Azji się liczy, tym bardziej, że ryżu trzeba dawać coraz więcej, gdyż ludzi wciąż przybywa: każdego roku rodzi się 1 800 000 dzie-

MAREK JURKOWICZ

rewolucja daje ryż

korespondencja własna z Wietnamu



ci. Niektórzy demografowie kreślą w tej dziedzinie oszałamiające perspektywy — 100 milionów Wietnamczyków w 2000 roku!

Ubiegłoroczne zbiory to 15 milionów ton ziarna. W bieżącym roku dojdzie jeszcze pół miliona. To jest już sukces. W ten sposób zapewnił po 300 kilogramów ziarna na głowę obywatela, a więc więcej niż w Indiach.

Słońce jest w zenicie. Upał załamywa dech w piersiach. Szukamy cienia pod dachem rozległego, starego budynku. Siedzi tu kilkadziesiąt dziewcząt. Snują z żółtych kokonów jedwabników cieniutkie nitki. W półmroku nitek tych prawie nie widać, ale ręce dziewcząt poruszają się bez przerwy i bez przerwy, w ciszy i skupieniu, trwa jednostajny rytm pracy.

— Jedwab to jeden z naszych wyrobów — mówi któryś z Wietnamczyków. — Bez ryżu żyć nie można, ale nie można i bez jedwabiu.

Fot. AUTOR





Jarek od małego był „lotnym” dzieckiem, a do tego pasjami uwielbiał kolegów, zaś ich towarzystwo przedkładał nad życie rodzinne. Prawdę powiedziawszy, gdyby nawet bardzo chciał, pełnego życia rodzinnego i tak mieć nie mógł. Gdy skończył dwanaście lat, ciężko zachorował ojciec, który po dwóch latach leczenia szpitalnego zmarł na raka. Przez te siedem lat, które minęły od śmierci ojca, zdążył zaliczyć poprawczak i półtora roku „schowka”.

Zapracowana matka ledwo wiązała koniec z końcem, mimo że zaharowywała się do granic ludzkiej wytrzymałości, aby Sławkowi i jego młodszemu bratu starczyć na chleb, zeszyty i jakie takie ubranie, a od czasu do czasu — nawet na kino.

Mnie się nie chce wierzyć, że on tyle nakradł, przecież do końca żywiłam go i dawałam na papierosy.

Jedyną moją pociechą jest jego córeczka; niedługo skończy roczek. Chorowite maleństwo. Co mogę, to jej kupuję, chociaż na wiele mnie nie stać. A jemu już nie pomogę. Na adwokata nie dam. Koniec. A przecież jestem matką i serce mocno mnie boli. Tę małą oddali do żłobka. Kiedy kobiety będą mogły same wychowywać dzieci? Gdybym nie pracowała, może los mojego syna też potoczyłby się inaczej?

W marcową noc, z soboty na niedzielę, w lesie koło Wygody zatrzymał się „maluch”. Dwaj mężczyźni skierowali się w stronę stojącego na uboczu sklepu spożywc-

— Nie szkodzi, są za bardzo pijane. Zresztą pobawimy się trochę, potem zobaczymy. Idźciez w tanie?

— Nie, muszę wyjść do kibla — Arek wstał od stolika i skierował się w stronę szatni. Po upewnieniu się, że Heniek rzeczywiście podryguje na parkiecie, wyszedł na ulicę i udał się w kierunku ul. Buczka. Drzwi do mieszkania Heńka zamknięte. Na pukanie nikt nie odpowiadał. Obszedł budynek i przez otwarte okno wsunął się do mieszkania. Zabrał kożuch, trochę kryształów i aparat fotograficzny; ukrył to w pobliskich krzakach na skwerku, a sam wrócił do „Kameralnej”. Heniek obtańcowywał kolejną pannę. Przy stoliku siedział tylko Leszek.

— Zalatwiłem chatę starych Heńka.

— Szybki jesteś, Areczku. Gdzie to masz?

— Niedaleko. Pomóż mi zamelinować towar.

— Przecież możesz schować u siebie w piwnicy.

Chciał od razu mieć wszystko: samochód, dużo pieniędzy, modne ciuchy — informuje żona Jarka. — Bardzo lubi małą. A jaki jest czuły! Gdy go poznałam, wiedziałam, że był w poprawczaku i siedział w więzieniu. Współczułam mu. Przez ostatnie kilka lat wychowywał się bez ojca, a jego matka była zaharowana. Ja też wychowałam się w podobnych warunkach. Tak bardzo chciałam mieć własną rodzinę, ale inną niż ta, którą stworzyli mi rodzice. Gdy zasłama w ciążę, byłam bardzo szczęśliwa.

i Arka, przyniósł niewiele ponad 40 tysięcy — w postaci czekolad, win i papierosów. Przeznaczali je na własny użytek.

Bezkarność, z jaką udawało im się dokonywać kradzieży i włamań, sprawiła, że stali się bezczelni. Wyprawa po kolumny głośnikowe do znajomej o mało nie spowodowała wcześniejszej wpadki. Właściwie gra nie była warta świeczki. Skradzione przedmioty — głośniki, spodnie, kapelusz i suszarka do włosów — nie przekraczały razem kilkunastu tysięcy złotych. Nienasyceń, postanowili jeszcze tej nocy obrócić kiosk niedaleko mieszkania Sylwka.

Po ukręceniu klódek okazało się, że drzwi zamknięte są także na klucz. Jarek zbil szybko, po czym szybko wynieśli papierosy, które ukryli w piwnicy jednego z bloków. Za pośrednictwem paserów upłynnili je na bazarze Różyckiego w Warszawie.

Gdy przed rokiem dostaliśmy mieszkanie, miałam nadzieję, że odtąd wszystko ułoży się dobrze — mówi żona Sylwka. — Córcia wprost przepada za nim i w domu nie odstępowała ani na krok. Mały zupełnie go nie zna; przecież siedzi już parę miesięcy. Ja nie kazałam mu kraść! Ale w końcu to ojciec moich dzieci. Wzięłam pożyczkę, żeby opłacić adwokatów. Przecież nie mogę go bez pomocy zostawić. Jakoś przeżyję. Pójdę teraz do pracy, bo urlop mi się kończy. Wierzę, że on się zmieni, zmadrzeje. Będzie czekała. Najgorsze są ludzkie języki.



— Nie raz szukałam go po całych nocach. A jakże, zwracałam się o pomoc i do Ligi Kobiet, i do milicji, i do sądu. „Nie ma przestępstwa, nie możemy zrobić” — mówili. A jak już się zdarzyło, bo podczas jednej z ucieczek złapano go na kradzieży, było już na ratunek za późno. Powędrował do poprawczaka. Ale i stamtąd uciekł. Ucieczki miał we krwi. Jak tylko wyszłam na noc do pracy, a jego zostawiłam z młodszym, Jarek natychmiast „szedł w Polskę”. Przez to mały dostał nerwicy, a i serce ma nie w porządku.

Człowiek się cieszy, jak to się urodzi, całuje, gdzie się da, a potem taki wstyd! Nie raz go prosiłam: „Synu, nie chodź, bo ludzka krzywda zawsze bokiem wychodzi”. Nic z tego; nie pomagały ani prośby, ani groźby. Z początku go biłam, potem, gdy zobaczyłam, że to nie pomaga, zaczęłam tłumaczyć. Na nic. On od małego był uparty.

Te półtora roku dostał za kradzież. Uciekł z poprawczaka i trafił do Sztumu. Miałam wtedy drugą operację. Jak wyszedł z więzienia, musiałam wziąć pożyczkę i kupić mu ubranie. Grzywnę, którą mu przysądziła, też ja ratami spłacałam. Po tym więzieniu wystarałam mu się o pracę. Obiecywałam: „Koniec z wódką, koniec z kolegami”. On ma uprawnienia na wódkę, ale zamiast wózkami jeździć, musiał nosić worki. Wkurzył się i więcej nie poszedł. Ostrzegałam: „Sławek, jak się dowiem, że coś kombinujesz, sama doniosę i pójdziesz znowu siedzieć”. Ale on się krył, aż w końcu wpadł. Ostatnio nie było tygodnia, żeby milicja nie robiła w domu rewizji.

czego. Szybko sforsowali przylegające do pawilonu ogrodzenie i równie łatwo uporali się z klódkami na drzwiach od zaplecza. Skrzynki z wódką stały przy samej kracie, nie musieli więc jej wyłamywać. Przekładali wódkę z pojemników do przygotowanych toreb, po czym ścieżką — obok kościoła i wzdłuż płotu szkolnego — nosili do samochodu.

Następnej nocy przybyli tu we trzech. Poszło im równie gładko, chociaż Sylwka, gdy niósł kolejną ładunek do samochodu, widział spóźniony przechodzień. Wzieli więc z sobą wódkę tylko „na własne potrzeby”, a resztę ukryli w pobliskim lesie.

— Nie możemy po resztę gorzale jechać, moim samochodem, facet mógł zapamiętać kolor — denerwował się Sylwek w powrotnej drodze.

Znajomy taksówkarz, bez większych ceregieli, za cztery „patole” i dwie flaszki wódki zgodził się im pomóc. Lup z lasu przemierzył się w bezpieczne miejsce. Sto butelek wódki powędrowało do garażu niewykończonej willi w Łomży. Ze zbytem reglamentowanego towaru, dzięki paserom, nie było większych trudności. Ponad sto tysięcy chłopcy przebalowali równie łatwo, jak zdobyli.

— Te „skóry” można by wziąć do siebie na chatę.

— Nie ma mowy.

— Dlaczego? Przecież starych nie ma.

Pragnęłam dziecka, tylko może nie tak szybko. Nie chcę plotek, dlatego przeprowadziłam się do jego matki. Po co ludzie mają sobie strzępić języki? Kocham go i będę mu pomagała. Wierzę, że się zmieni. Był moim pierwszym chłopcem i jedynym. I chociaż nie mamy ślubu, będę na niego czekała, nawet dziesięć lat! Jak wyjdzie, nie będzie jeszcze taki stary. Wierzę, że da się wszystko zacząć od nowa.

— Zalatwione. Są zalani w pestkę i śpią. Możemy działać.

— Dobrze. Ja zostaję na czatach, a wy do roboty.

Leszek i Mietek weszli na taras. Podważyli okno i ostrożnie wsunęli się do mieszkania. Schodami udali się na piętro.

— O, cholera! Drzwi zamknięte na klucz. Trzeba wyjąć szybę.

— Tylko cicho, bo mogą się obudzić.

— Coś ty, śpisz jak aniołki.

Leszek wyjął szybę z drzwi i wszedł do pokoju. Przez otwór podał koleżce trzy kożuchy i skóry, pięć płaszczy i kurtkę, a także dziesięć tysięcy gotówki.

— Wychodzimy przez piwnicę.

— Mietek, idź do domu. Ja z Leszkiem zamelinuję towar.

Mietek pożegnał się z kolegami. Mieszkał parę domów dalej.

W tym przypadku biegli ocenili straty — według cen rządowych — na 230 tysięcy. Czasami, wskutek złego rozeznania, trafiały im się drobniaki. Skok na sklep w Gielczy, nie wykonany przez Sylwka Jarka

— Jarek, mam na oku robotę. Domek na uboczu, prawie na wsi. Rano wszyscy wychodzą do pracy, klucz zostawiają pod schodami. Skoczmy zaraz taryfa.

Taksówkarzowi kazali zatrzymać się koło kiosku: — Zaczeka pan chwilę, zaraz wracamy.

Wrócili zadyśnani po kilku minutach. — Do „Bony”!

W kawiarni nie było wolnych miejsc. Przy jednym ze stolików dostrzegli samotnie siedzącego znajomego. Dosiedli się. Ogólnikami omawiali plan działania, ale tak, aby ten trzeci zorientował się trochę, o co chodzi. Podstęp się udał.

— Weźmiemy mnie do spółki?

— Do jakiej spółki? My sobie tylko tak rozmawiamy — droczyli się z nim.

— Dobrze, dobrze, znamy się. Nie jestem głuchy.

— Głuchy może nie jesteś, ale frajer — powiedział Jarek, ciesząc się, że rybka poknęła orzytnę.

— Zgodę — powiedział Jarek, gdy kolega pożegnał się i wyszedł.

— Zrobimy to razem. On nie może, bo pracuje, a ty, skoro tak bardzo chcesz, woadnij do mnie we wtorek o dziesiątej.

Tego samego wieczoru Jarek spotkał się z Sylwkiem.

— Napuściłem frajera na robotę. Ale się napalił! Zrobimy to trochę przedzej, a jak będzie wpadka, zwalimy na niego Alka, dasz Kogutowi tę kartkę i klucz do swojej chaty; on będzie wiedział, o co chodzi.

Jarek zwrócił się do bawiącej dziewczynki



We wtorek rano liczyli łup. — Wszystko się zgadza: tysiąc marek, półtora zielonych, trzy łańcuszki, obrączki, sygnet i pierścionki.

— Jak myślisz, koło miliona?
— Kończymy, mogą nas nakryć.
— Coś ty, dopiero dziewiąta.
— Wychodzimy, klucz położy tam, gdzie był.

— Ale miał rozeznanie!

— Jasne. Przecież bywał u nich często.

O dziesiątej Kogut nie zastał Jar-ka w domu. Drzwi były zamknięte. Postanowił zaryzykować sam. Klucz znalazł tam, gdzie — zgodnie z in-strukcją — być powinien. Trzy kożuchy i dwa płaszcze skórzane za-winał w koc. W skrytce było 20 do-larów i 100 marek. Z kuchni zabrał półlitrową butelkę spirytusu.

Na Spokojnej złapał taksówkę. Nie zauważył, że w ślad za nią jedzie mały fiat. Gdy dotarł do mieszkania Alki, za chwilę przyszli tam Jarek z Sylwkiem.

— No, jesteście. Co macie?

Kogut rozwinął pakunek.

— Tylko tyle? A gdzie forsa i złoto?

— Nie mam, jak Boga kocham!

— Kłeszenie na wierzch! Migiem!

Ladnie oszukiwać kolegów? Gdzie reszta forsy?

— Nie ma żadnej reszty.

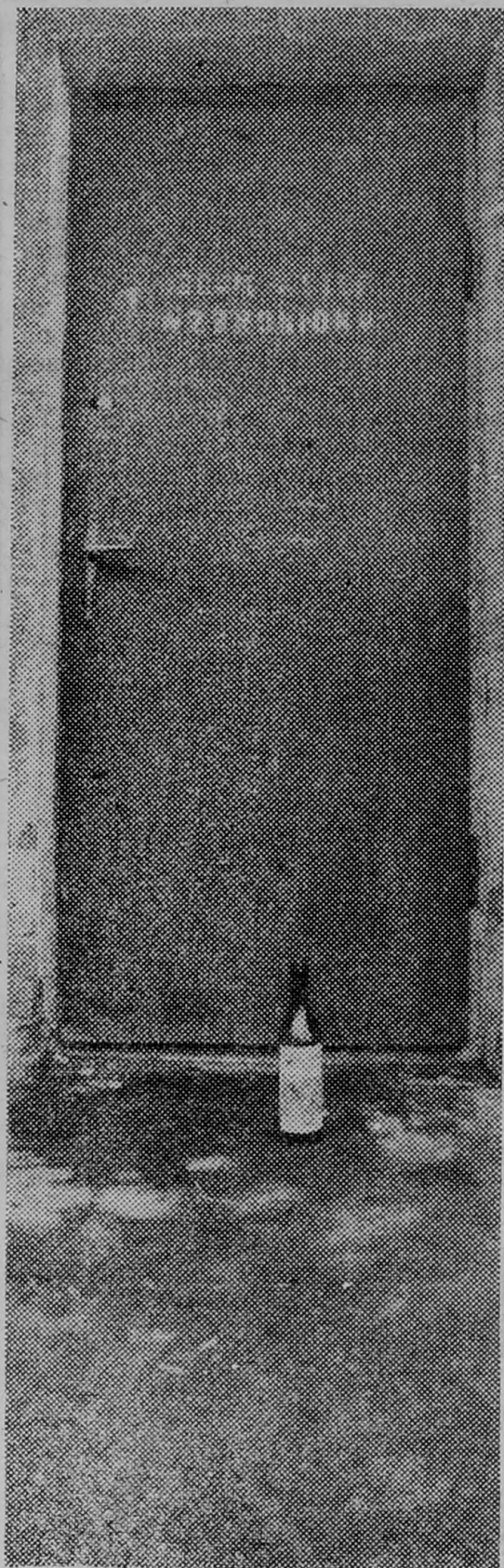
— Daj mi spokój. Widzisz, że nie ma. Zostaw mu te drobne. Ale skó-ry zabieramy. Postaw też gorzałkę i soliwaj.

Gdy za Kogutem zamknęły się drzwi, Andrzej i Sławek wybuchnęli śmiechem.

— Na sprawę nie pójdziemy, chyba że ojciec. Jak ja mogę teraz do niego iść? Czy on będzie mógł mi spojrzeć w oczy i powiedzieć: „Matko”? A ja co mu powiem: „Dobrześ, synku robił”? Dla mnie wystarczy, że mojego syna zabrała milicja — niewidzącym wzrokiem rozgląda się po pokoju i kłuje drutami powietrze.

— Tyle lat przeżyłam i ani mili-
cja mnie zna — wtraca, milczący do tej pory, ojciec. — Wolałbym już nie żyć na tym świecie, niż znosić taki wstyd — wstaje i wychodzi z zaszklonymi oczami.

— Wykształcenia dużego nie miał — podejmuje po chwili wynurzenia matka — tylko osiem klas, ale zdo-
był prawo jazdy. Myśleliśmy: uci-
ła się trochę grosza, kupi mu sa-
mochód, postawi na postój — zno-
wu wybuchła płaczem. Zamyśla się, a ja uświadamiam sobie, że przez cały czas mówiła o synu w czasie przeszłym, jak o kimś nieżyjącym.



— Na sprawę nie pójdziemy, chyba że ojciec. Jak ja mogę teraz do niego iść? Czy on będzie mógł mi spojrzeć w oczy i powiedzieć: „Matko”? A ja co mu powiem: „Dobrześ, synku robił”? Dla mnie wystarczy, że mojego syna zabrała milicja — niewidzącym wzrokiem rozgląda się po pokoju i kłuje drutami powietrze.

Ostatni skok był fuszerka nie-
odna nawet amatorów. Za-
planowali go już dawniej, ale
wykonanie odłożyli na później, bo
przestraszyli ich trochę wroki Ko-
guta i Mietka. W restauracji zu-
pełnie przypadkowo, podsłuchali
dwóch pijaków, wybierających się
w odwiedziny do znajomej, mają-
cej męża w Stanach. Z „podsłuchu”
wyciągnęli wniosek: skoro mąż w
Ameryce, to baba musi być „na-
dziana”.

W drugi dzień Wielkanocy, podo-
choceni alkoholem, uznali, że nad-

szedł dzień zrobienia remanentu u
„Amerykanki”. Nie zachowując
zwykłych środków ostrożności, sa-
mochodem Sylwka zajechali pod
blok. Spokojnie wylamali zamek i
— bez przeszkód — spłądowali
mieszkanie. Łup był obfity: złoty
sygnet, dwa zegarki, magnetofon „Si-
emmens”, dwa kalkulatory, tyleż ko-
żuchów, nieco kryształów i innych
drobiazgów; razem: na około 240
tysięcy. Ponieważ byli na gazie, ich
uwadze uszło nieco gotówki, która
zapadła się w białiznie i została
potem odnaleziona przez funkcyj-
nariuszy MO (28 tysięcy złotych pol-
skich oraz 2250 dolarów USA). Ale
i tak musieli obracać dwa razy: na
drzwiach jeden z nich zostawił od-
cisk palca, a na schodach otworzyła
się walizka z łupem i sąsiedzi usły-
szeli brzęk tłuczonego szkła. Na do-
miar złego kilka osób widziało ich
kręcących się po klatce, gdy bez-
czelnie wynosili łup; ktoś nawet
spisał numery samochodu, do któ-
rego wsiedli pijani mężczyźni.

W konsekwencji nazajutrz, 13
kwietnia, o 13.00 (jak pech, to pech),
dowódca patrolu kontroli drogowej
odnotował w służbowym notatniku:
„Pełniąc służbę, zatrzymałem do
kontroli samochód Fiat 126p, nr rej.
[...] Podczas kontroli w bagażniku
znalazłem pret metalowy. [...] ubio-
rem oraz znakami na samochodzie
[...] odpowiadał sprawcy włamania
do mieszkania [...]”. O 17.00 tego sa-
mego dnia Jarek został zatrzymany.

Nareszcie prokurator Mirosław
Zientarski jest zadowolony —
może kierować sprawę do są-
du: — Działalność tej grupy, nast-
wionej na kradzież mienia społecz-
nego i prywatnego, była prowadzo-
na w sposób planowy. Jak wykaza-
ło śledztwo, dokładnie znali roz-
kład mieszkań i skrytek, w których
przechowywane były wartościowe
przedmioty i pieniądze. Wiamał do
mieszkań dokonywali przeważnie w
godzinach przedpołudniowych, zaś
do jednostek gospodarki uspołecz-
nionej — nocą i w dni wolne od
pracy. Posługiwali się narzędziami
prymitywnymi, ale skutecznymi.
Często wykorzystywali lekkomyśl-
ność obywateli, pozostawiających ot-
warte okna i klucze w skrytkach.
Przez okres co najmniej dziesięciu
miesięcy zagarnęli mienie wartości
ponad półtora miliona złotych u o-
sób prywatnych, a jednostki gospo-
darki uspołecznionej narazili na
straty około 270 tysięcy. Organy śc-
gania znaly fakty dokonywania
przestępstw przez tę, kilkusobową,
grupę, ale brakowało im wystarcza-
jących dowodów winy. Dopiero za-
stosowanie aresztów tymczasowych
pozwoliło na wszechstronne „rozli-
czenie” sprawców. Udało się odzys-
kać część skradzionego mienia; zo-
stało oddane poszkodowanym. Gru-
pa korzystała z pomocy paserów, w
tym także taksówkarza. Długie i
zuchwałe działania grupy było moż-
liwe ze względu na brak zaintere-
sowania mieszkańców tym co się
dzieje u ich sąsiadów.

Fot. GABOR LÖRINCZY



spiećcia



9
KONTAKTY
9 I 1983

Gabinet fizykoterapii Wojewódz-
kiego Szpitala Zespołowego w Łom-
ży jest wyposażony w wannę do
wirowo-wodnych masażu. Ich sku-
teczność zależy od przestrzegania
ściśle określonej temperatury wody
— 36 do 40 stopni. Najczęściej ply-
nie jednak albo zimna, albo cuch-
nąca, letnia breja. Dziennikarska in-
terwencja w dyrekcji Szpitala wy-
wołała wprawdzie odruch rozłożo-
nych rąk, niemniej aż tydzień tem-
peratura była odpowiednia. Obec-
nie znowu płynie albo zimna, albo...
No i jak tu nie przygrzać?

*

Szlaban kolejowy w Osowcu naj-
częściej bywa zamknięty. Jest to
jedyne prewencyjne zamknięcie bez-
dyskusyjne akceptowane przez wszy-
stkie siły jako działanie zmierzają-
ce do uniknięcia katastrofy.

*

Po posiedzeniu społecznej instan-
cji odnowicielskiej jeden z wply-
wowych oznajmił (na stronie):
„Pieprzę tym stanowiskiem i będą
miał wreszcie święty spokój”. A-
men.

*

Kobiety pracujące w nie ogrze-
wanej hali wytwórni prefabrykatów
żelbetonowych w Trzciannem, na
pytanie dziennikarza: „Jak panie to
wytrzymują?” — odpowiedziały:
„Dla rozgrzewki bawimy się w ber-
ka”. Słyszysz, ekstrema? W berka!

*

Fabryka Aparatury i Urządzeń Ko-
munalnych „Powogaz” w Łomży
miała kłopoty ze zbyciem sporej
ilości tacek przestarzałego typu —
model a'la 1956 oraz 1980. Jak wo-
da idą natomiast typy odnowione.

*

Wojewódzka Spółdzielnia Miesz-
kaniowa oddała do użytku pierw-
szy okazały blok w Nowogrodzie.
Elektryki w nim nie ma, gdyż ka-
bel zasilający od początku ma prze-
bicie, kabryfery nie grzeją, bo za
słabe jest ciśnienie. Usuwanie uste-
rek odbywa się w trójkacie: Spół-
dzielnia Mieszkaniowa — Białostoc-
kie Przedsiębiorstwo Instalacji Elek-
trycznych — Rejon Energetyczny w
Łomży. Bledną przy nim najbardziej
niesamowite rewelacje z Trójkąta
Bermudzkiego.

*

Zainteresowanych gazami ludzi u-
zdrowiciela Kacmajora z Elbląga
zawiadamy, iż wolny jest jesz-
cze etat goryla. Pierwszeństwo mieć
będą kandydaci cytaci i pisaci.

*

Ogłaszamy plebiscyt na najlepsze
„Spiećcia” roku 1982. Na Czyteln-
ków, którzy systematycznie nas czy-
tali i zadadzą sobie trud przesłania
do redakcji (do końca stycznia) wy-
typowanego „Spiećcia” — już czeka-
ją atrakcyjne nagrody.



czekając na ocieplenie

JAN KWASOWSKI

Pierwsze przymrozki uwięziły mnie w domu. Musiałem odmówić kilku osobom, które chciały mnie widzieć u siebie na rautach i pogaduszkach, nie stawiałem się na parę narad sztabowych, gdzie koniecznie głosowano na Telewizyjną Listę Przebojów; przeszły mi koło nosa: spotkanie radiestów, dni bez papierosa, tydzień bez gruczołu oraz ostatnie premiery teatralne, zwłaszcza „Zołnierzy królowej Madagaskaru”, po którym wiele sobie obiecywałem, a także „Chodzi Turon, paszcza kłapie”. Przegapiłem poniekąd również rozwiązanie Związku Artystów Scen Polskich i nie włączyłem się w potępienie bojkotu radia i telewizji ze strony aktorów. A wszystko to z powodu butów.

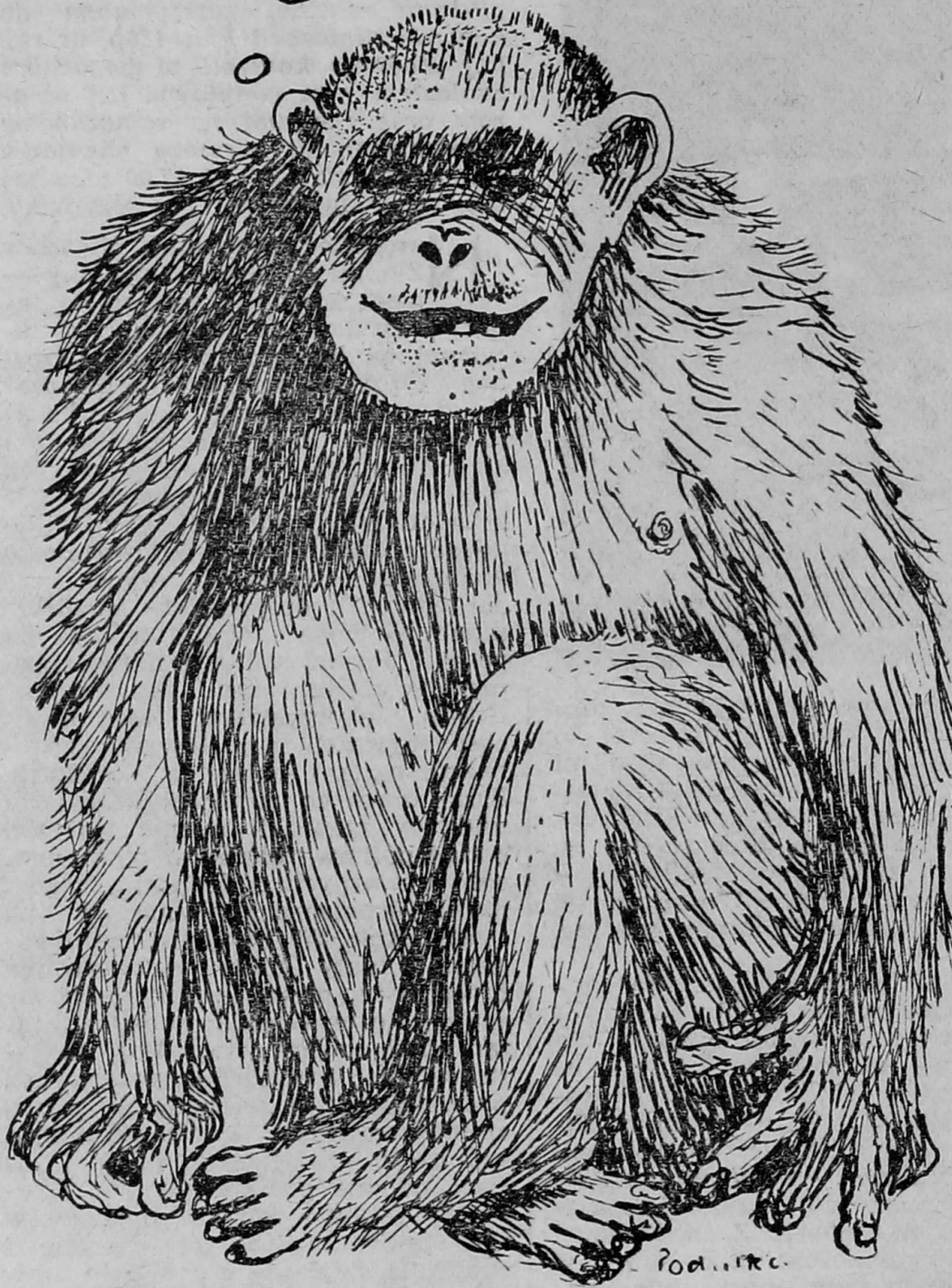
Jeszcze w listopadzie w jednym, akurat tym mniej znoszonym, odkleiła się podeszwa. Po tygodniu usiłowałem, by znaleźć fachowca z klejem, a już zwłaszcza z nieprzymuszoną wolą wykonania naprawy od ręki — udało mi się trafić do roboty. Ale czy to umiejętności odstawiały za ochotę, czy pożałował deficytowego mazidła, dość że po trzech dniach podeszwa odskoczyła bardziej jeszcze niż poprzednio. Szewc, najzupełniej wytrzeźwiony, nie przyjął reklamacji i posłał mnie w diabły na pół boso.

Siedzę tedy w domu, herbatę z cytrusami pijam i śledzę wydarzenia w telewizorze, żeby z nastaniem wiosny, oby już niedługo, nie wyjść na cudzoziemca we własnym kraju. Wskutek tego wiem już, dlaczego elektrownia Jaworzno wyko-

nała roczny plan w listopadzie, a wicepremier Rakowski nie martwi się, czy mu wystarczy kartek na papierosy. Ja też się nie mam co kłopotać, bo — jak zapewniają co kilka dni ministrowie i dyrektorzy handlu — na odcinku butów następuje systematycznie poprawa, a w przyszłym roku może być już całkiem nieźle. Robi się od tego cieplej w nogi, ale żeby pójść do sklepu i samemu przekonać się, czy poprawa nie omija czasami Białegostoku lub Łomży — trzeba mieć w czym. Znowu jak ktoś buty ma, to mu poprawa nie bardzo leży na sercu; myślę, że nie wystawi się w nocnych kolejkach na mróz i zawieru-

my, natychmiast niemal zadbało, bym pogańsko-nieprzyjazny utwór mógł obejrzeć. Wznowiło go mianowicie w kinie „Ton” i to pięć razy na dobę, dlatego chyba, żeby nikt z pracy nie musiał się urywać. Nie mogłem takiej gratki przepuścić, tym bardziej że pewna znajoma, zresztą siostra PCK z powołania czy może zawodu, zakupiła mi kapcie u przywaciarza i wcale nie za surowce wtórne. Założyłem je na wszystkie pary skarpet, jakie jeszcze posiadam, bo mróz się srożył — i pojechałem do śródmieścia. To dziwne bardzo uczucie, kiedy po długiej przerwie stąpa się znowu po trotuarze, ogląda choinki na wy-

najważniejsze
że jestem
przystojny



Rys. ANDRZEJ PODULKA

che, żeby sprawdzić prawdziwość telewizji. Natomiast jeśli ktoś nie ma, jak dajmy na to ja, to poprawa na odcinku sama do niego nie przyjdzie, a wyjść naprzeciw — przynajmniej póki się radykalnie nie ociepli — duże ryzyko. Napisałem do telewizji, żeby mi doradzono, jak się mam na zagadnienia zapatrywać, ale na razie nie otrzymałem odpowiedzi. Poczta w okresie świątecznym przeciążona, pocieszam się, że dostanę coś po Nowym Roku, gdy wzrośnie terminowość w związku z podniesieniem opłat. Ale wobec przeciągania się zrezygnuję chyba z Sylwestra w Budapeszcie, to bowiem można jeszcze przy pomyslnych układach gwiazd wylosować, podobnie jak karpia na Wigilię, ale przecież nie buty. Chociaż są podobno prowadzone próby na ludności wiejskiej, zanim to jednak sprawdzi się i dojdzie do Białegostoku, karnawał pewnie minie, a może i Wielkanoc. Poza tym, o ile mi wiadomo, przedmiotem ciążnienia są gumofilce i kalosze. Nie mam pewności, czy dobrze by mnie przyjęto nad modrym Dunajem, gdybym jakimś cudem wygrał i bal, i nowiutkie gumki.

Wszelako raz jeden w grudniu odważyłem się opuścić mieszkanie, a to z powodu filmu, który — jak zapewniono w telewizji — ani chrześcijański, ani polski, tylko pornograficzny i wrogi nam pałeta się nie wiadomo czemu po ekranach. Zrazu tylko westchnąłem, ale kierownictwo przedsiębiorstwa rozpowszechniającego filmy w Białymstoku, które ma wyjątkowe wyczucie rekla-

stawach i wyludnione nie wiadomo czemu ulice.

W kinie okazało się prawie ciepło, trafiłem jednak do tego samego rzędu krzeseł, który już podczas przeglądu filmów zachodnoniemieckich w październiku za każdym poruszeniem się groził wywrotką. Wtedy sala przez okrągły tydzień była nabita, teraz natomiast mogłem przebiegać się na prawie każde miejsce.

Zgasły światła, po czym na ekranie pokazał się major z 07 zgłoś się, po cywilnemu jednak, i zaczął recytować nie raporty, lecz wiersz Czesława Miłosza. Niebawem okazało się też, że nie jest to żadna Dolina Missy ani Missouri, choć drapacz chmur pojawiały się jeszcze parokrotnie, tylko okolica jak najbardziej podsejnieńska czy podrajgrodzka, dzika dosyć, z ludźmi także dziwnymi na poły, choć gwoźli sprawiedliwości muszę stwierdzić, że nie zauważyłem nikogo na bosaka. Zresztą film, im dalej, tym bardziej mi się podobał. Pochłonięty mniem w końcu do tego stopnia, że zapomniałem nawet o rozcieraniu stóp. Zachodziłem tylko chwilami w głowę, dlaczego sala świeci pustkami. Widocznie wzrostki, na które liczyło kierownictwo, nie oglądają jednak telewizji albo pornografia przestała być dla nich atrakcją.

Ja zaś dalsze robienie frekwencji mam z głowy przynajmniej do wiosny, zapomniałem bowiem kapci przed wyjściem z kina. Tak że nawet telewizję w sylwestrowy wieczór będę oglądał boso.

jesień w kuluarach

„Kontakty” — w mojej skromnej osobie — pozwoliły sobie uczestniczyć w tegorocznej „Jesieni z bluesem” w Białymstoku, chociaż nikt tam nas nie zapraszał. Zaproszono natomiast kilkunastu dziennikarzy z różnych miast Polski, wychodząc prawdopodobnie z założenia, że uwagę warto poświęcić centralnym środkom przekazu, a Łomża pod bokiem, to się o wszystkim i tak dowie z lokalnej prasy białostockiej. Takie uczestnictwo incognito ma zresztą swoje dobre strony, bo nikt się tobą nie zajmuje, rozmawiasz z kim chcesz, słuchasz czego chcesz i ludzie mówią prawdę, pokazują prawdę, bez obawy o szczyry artykuł w prasie. Tegoroczna „Jesień z bluesem”, piąty już festiwal tej muzyki, ale również country i rocka, robiony był na gorąco, gdyż nikt nie wiedział, jak będzie z finansami, dojazdami, jednym słowem — kosztami, które ostatnio wzrosły do horrendalnych rozmiarów. Właściwie to nikt tego wszystkiego nie wyjaśniał, ponieważ na konferencji prasowej nie padło ani jedno słowo, tak z ust dziennikarzy, jak i organizatorów. Zresztą po co, skoro były lepsze zajęcia na sobotni wieczór przewidziane. Co zatem musi robić Wasz wysłannik, kiedy wszyscy milczą? Ano mieć oczy szeroko otwarte, uszy także, wiedzieć z kim porozmawiać i wyciągnąć z tego odpowiednie wnioski.

Otóż w tej decyzji festiwalu prawie zupełnie zrezygnowano z country i rocka, był niemalże wyłącznie blues, a raczej *rhythm and blues* w wydaniu takich gwiazd, jak Jan Izbiński, Elżbieta Mielczarek i „Kasa Chorych”. I otóż to. „Kasa” wystąpiła już bez swojego lidera Ryszarda Skibińskiego, który spakował swoje zabawki (walizkę z harmonijkami ustnymi) i przeniósł się do grupy „Krzak” — z korzyścią dla tej ostatniej, że szkoda dla pierwszej. „Kasa” bez Skibińskiego gra jak noga stołowa na wiołenczelu, nie więc dziwnego, że organizatorzy koncertów w większych miastach, kiedy dowiedzą się o tym ubytku, masowo rezygnują z podpisania kontraktu. Ale nie o tym chciałem.

Kilka dni po zakończeniu „Jesieni” białostocka Rozgłośnia PRiTV nadała reportaż z festiwalu, w którym m.in. wypowiedział się R. Skibiński. Jak fani pamiętają w dwóch minionych edycjach grupa „Skiby” nie brała udziału i teraz usłyszeliśmy wyjaśnienie. Według niego zespół nie mógł pogodzić się ponoć z formułą festiwalu, który przybrał kształt przeglądu bluesa, country i rocka a także form pokrewnych. Tymczasem w kuluarach (każda dobra impreza musi mieć swoje kuluary) mówiono, że „Kasa Chorych” obrazila się na ówczesne kierownictwo Miejskiego Domu Kultury za odebranie sprzętu i w „Jesieni” nie uczestniczyła. Sprzęt został zabrany wówczas, kiedy zespół regularnie nie wywiązywał się z umów, czyli że za udostępnienie na stałe aparatury wartości kilku milionów złotych, nie chciał 2—3 razy w roku wystąpić w rodzinnym mieście. Do tego doszły jeszcze niezbyt przyjemne historie, które swój epilog znalazły w sądzie.

Teraz, kiedy zmieniło się kierownictwo MDK, a w „Kasie” nastąpił rozłam, z jednej strony zespół zdecydował się wystąpić bez Skibińskiego (żeby pokazać Polsce, iż jeszcze coś znaczy, chociaż nie jest to prawdą), z drugiej zaś — postanowił wystąpić Skibiński z wokalistą (by pokazać, że „Kasa” stała nim a on pracuje nadal i to jeszcze ambitnie). Ale czegoś takiego ujawnić publicznie nie wolno, bo wstyd, dorabia się tedy kłamliwą interpretacją, autor audycji radiowej natomiast (znając prawdę) puszcza tego baka na antenę bez żadnego komentarza.

Oczywiście, Waszemu sprawozdawcy nie wystarczyło już czasu na obejrzenie kilkunastu koncertów, gdyż wybrał kuluary, a i tak musiał się dosyć nagłowieć i napracować, żeby jakoś do nich się dostać.

JAN JANUSZEK

P.S. Jak się okazuje, „Kasa Chorych” występuje nadal. Ostatnio koncertowała w Choroszczy, Michałowie i Czarnej Białostockiej. (J.J.)



kontakty kontaktów

W 35 numerze „Kontaktów” w rubryce „Co po krytyce” zamieszczono szereg krytycznych uwag, dotyczących sposobu załatwiania wniosków i postulatów ludności przez dyrekcję Oddziału PKS w Łomży. Sprawa dotyczy nie uwzględnienia proponowanych przez zainteresowanych zmian w rozkładzie jazdy autobusów. Zarówno z listów podróżnych, jak i notatki prasowej wynika, że rozkład jazdy autobusów traktowany jest jako przypadkowy zbiór cyfr, oznaczający godziny odjazdu i przyjazdu autobusów, na którym można dokonywać różnych operacji na każde życzenie.

Otóż wyjaśniamy, że jest to rozumowanie bardzo błędne. Postawienie którejkolwiek z cyfr w rozkładzie jazdy poprzedza długa i żmudna analiza potrzeb i możliwości — zwłaszcza obecnie, przy tak ogromnej rozpiętości pomiędzy zapotrzebowaniem na usługi przewozowe i możliwościami ich zaspokojenia, limitowanymi ilością sprawnego technicznie taboru autobusowego. Problem sprowadza się więc do tego, aby minimalną ilością taboru załatwić maksimum potrzeb. W wielu przypadkach, w tym również dyrekcji Oddziału PKS w Łomży, zarzuca się brak wnikliwości i staranności w rozpatrzeniu sprawy, właściwej analizie zgłoszonych wniosków i prawidłowej organizacji pracy. A czyż potrzebna jest jakaś nadmiernie głęboka analiza i wnikliwość, aby ustalić, czy istnieje możliwość zmiany godzin odjazdu lub przyjazdu autobusu o kilkadziesiąt lub kilkanaście minut? Otóż stwierdzam, że nie jest potrzebna. Wystarczy bowiem zerknąć w tzw. „wozobieg”, z którego wyraźnie widać, że autobus przyjeżdżający do Szczuczyna o godzinie 7.20, do Grajewu przybywa o godzinie 7.48. Jego zadaniem jest dowieźć młodzież do szkół w Szczuczynie i Grajewie. Przy uwzględnieniu wniosku młodzieży dojeżdżającej do szkół w Szczuczynie, skróci się jej czas oczekiwania na zajęcia szkolne o 15 minut. Jednakże co wówczas powie młodzież dojeżdżająca do szkół w Grajewie, która pozbawiona zostanie możliwości dojazdu na godzinę 8.00 (autobus przybędzie do Grajewu o godzinie 8.03)? Nad tym oczywiście nikt z pisańców się nie zastanawia; bo i po co — najważniejszy jest własny interes.

Dlatego też jeszcze raz z maniakim uporem, jak to określiła redakcja, stwierdzamy, że zrealizowanie wniosków młodzieży ze szkół w Szczuczynie nie jest możliwe bez wprowadzenia tam dodatkowego autobusu, którego — niestety — aktualnie nie posiadamy. Podobnie bowiem sytuacja wygląda z pozostałymi propozycjami dotyczącymi godzin 15.30. Patrząc na tabliczkę rozkładu jazdy, wydaje się, że nie ma nic prostszego, jak w miejsce godzin 11.00 czy 18.40 wpisać 15.30 i sprawa zakończona. Ale należy jeszcze pamiętać o tym, że autobusy jadące o godzinie 11.00 i 18.40 w godzinach szczytów przewożących nie stoją. Autobus, który wyjeżdża ze Szczuczyna o godzinie 11.00 przyjeżdża do Łomży o godzinie 15.15, odjeżdża z Łomży do Kolna. Jeżeli, zgodnie z propozycją, autobus ten wyjeżdżałby ze Szczuczyna o godzinie 15.30, to dziesiątki osób, kończących pracę o godzinie 15.00 w Łomży nie miałyby możliwości powrotu do domu w kierunku Kolna.

Jest sprawą oczywistą, bez specjalnych analiz i wnikliwości, że przy dotkliwym braku taboru, w odniesieniu do występujących i stale rosnących potrzeb, napięcie rozkładu jazdy w godzinach szczytów przewozowych jest tak olbrzymie, iż nie pozwala na jakiegokolwiek korekty, ponieważ poprawa sytuacji dla jednych podróżnych pociąga za sobą jej pogorszenie dla innych. Dotyczy to nie tylko trasy Stawiski — Szczuczyn, lecz wszystkich obsługiwanych przez Oddział PKS w Łomży.

Mgr inż. Włodzimierz Lach
zastępca dyrektora
Przedsiębiorstwa PKS w Łomży

O chłopięcych marzeniach, rozpieszczonej młodzieży, o szkołach wojskowych, zawodzie żołnierza i dziewczętach w wojsku — z zastępcą szefa Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego pki. Czesławem Krawczykiem rozmawia Wiesław Kołowski.

„Kontakty”: — Pamiętam z dzieciństwa częste defilady; w dniu dziecka wojskowi woźni uczniów z naszej szkoły amfibiami po jeziorze — kilkunastolatkom śniło się żołnierskie życie. Co teraz powinno rozbudzać chłopięcą wyobraźnię?

Czesław Krawczyk: — Na chłopięcych marzeniach nie można budować wiedzy o wojsku. Ale to dobrze, jeśli takie są. Zaczyna się najczęściej od słuchania opowiadań starszych, dziadków, braci — służyli w wojsku, mają wspaniałe wspomnienia, a to imponuje. Kielkujące zainteresowanie należy podtrzymywać, podsuwać odpowiednie książki, filmy. Najlepiej, jeśli np. członkowie drużyny harcerskiej utrzymują kontakty z jednostką wojskową. Jest wtedy okazja do rozmów z żołnierzami, harcerze uczestniczą w zawodach strzeleckich, uprawiają sporty obronne. Latem tego roku odbyły się podobne zawody na jednym z poligonów Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Przy takich

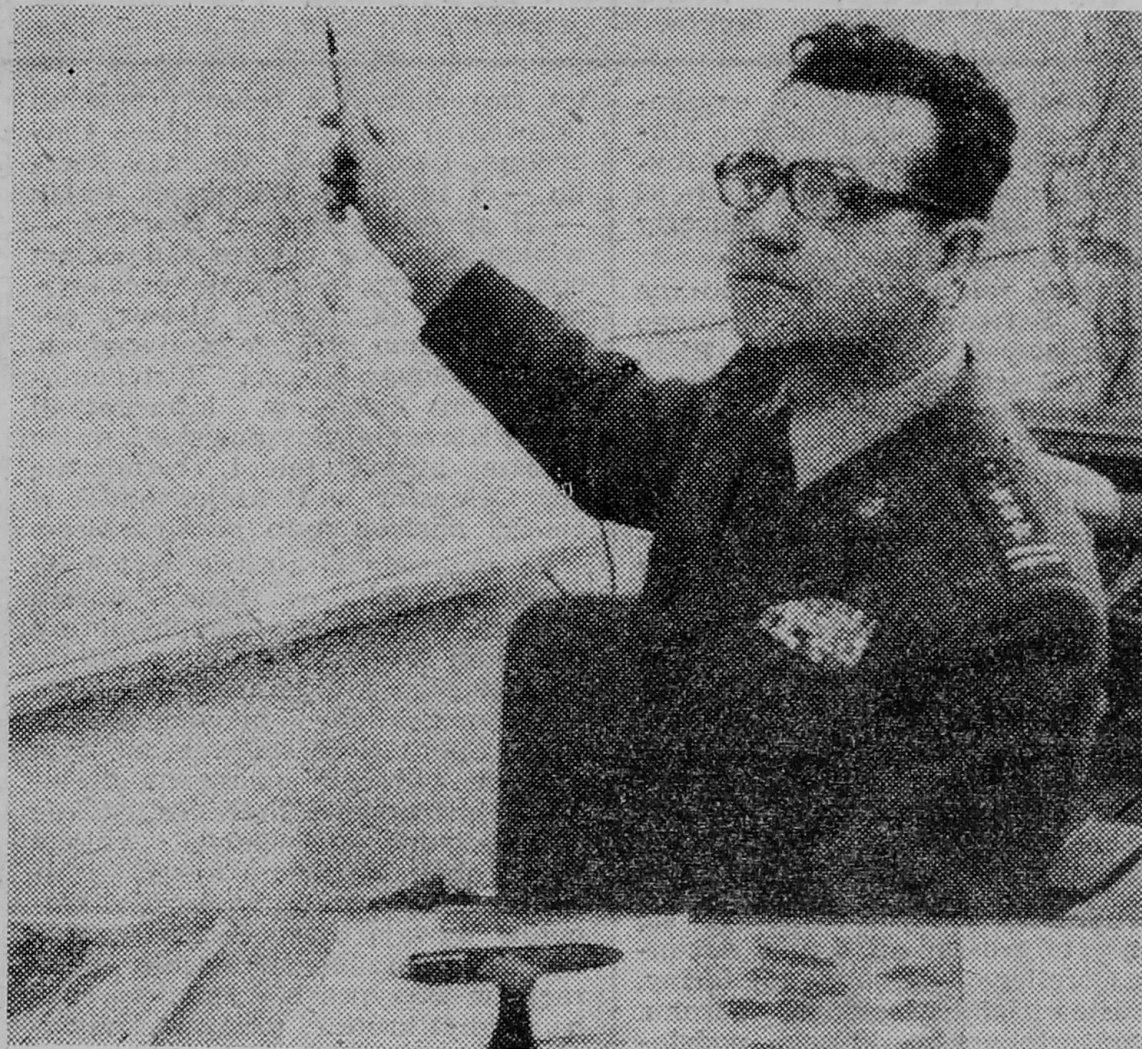
Wysokiego Mazowieckiego, Grajewu, Zambrowa, a z Łomży jeśli są, to najczęściej ze szkół zawodowych. Prawidłowość tę można tłumaczyć również tym, że młodzież z miast ma większe możliwości wyboru szkół, w których może uczyć się dalej. Natomiast dla młodzieży wiejskiej ukończenie szkoły wojskowej staje się niejednokrotnie jedyną szansą zmiany środowiska, a nawet zdobycia materialnych warunków do życia, zwłaszcza mieszkania. Nie ukrywam, że na młodzieży ze środowisk robotniczych i chłopskich zależy nam najbardziej.

Nie wszyscy chcą też poddać się hierarchii obowiązującej w wojsku — w życiu cywilnym podporządkowanie to też występuje, ale nie jest tak odczuwalne.

panny

— Co rekompensuje konieczność poddania się wojskowej dyscyplinie?

— Uważam, że zawód oficera, chorążego, podoficera LWP posiada wiele atrakcyjnych stron, liczących się w życiu obywatela. Wystarczy porównać wyposażenie szkół wojskowych i cywilnych: ze względu na obronność w uczelniach wojskowych gromadzone są najnowsze



okazjach młodzież może przyrzyć się wojskowemu życiu, a nawet przymierzyć się do obsługi nowoczesnego sprzętu.

Polscy oficerowie brali udział w wielu misjach pokojowych — również teraz kolejna zmiana polskich sił zbrojnych odbywa służbę na Bliskim Wschodzie. Można więc zwiędzać świat, służąc w wojsku. Czyż trzeba więcej dla kilkunastoletniego marzyciela o oficerskich gwiazdkach?

— Funkcjonuje przekonanie, że współczesna młodzież niechętnie poddaje się rygorom, a dyscyplina odstrasza od bram wojskowych uczelni. Czy rzeczywiście utrudnia to rekrutację?

— Nie zgodzę się z poglądem, że współczesna młodzież nie lubi dyscypliny. Owszem, lubi, ale musi to być dyscyplina prowadząca do konkretnego celu, a nie na pokaz. W poprzednich dwóch latach mieliśmy przypadki anarchizowania młodzieży. Trzeba jednak pamiętać, że tendencje te występowały w całym społeczeństwie i dotyczyły nie tylko młodzieży. Młodzi ludzie lubią wysiłek i nie boją się go; pracują chętnie, ale pod warunkiem, że są efekty tej pracy. Nieprawdą jest też, że młodzież nie lubi rywalizacji, zwyciężać chociażby rówieśników. Cechy te są nadzwyczaj przydatne właśnie w szkołach wojskowych.

Z pewnością współczesna młodzież jest inna niż np. z pokolenia wychowywanego zaraz po wojnie. Wiele zależy także od środowiska, z którego pochodzi. Wychowana w dużych miastach, długo przebywająca w ciepłarnianych warunkach, nie garnie się do służby wojskowej. W naszym województwie, mimo że pozbawionym dużych miast prawidłowość tę można zaobserwować. Najwięcej kandydatów do szkół wojskowych rekrutuje się z okolic

czesniejsze pomoce naukowe. Jeśli ktoś posiada zainteresowania naukowe, to może je najlepiej rozwijać w uczelni wojskowej. Są także możliwości rozwoju sił fizycznych. W której uczelni cywilnej, z wyjątkiem AWF-ów, zwraca się taką uwagę na wychowanie fizyczne? Każda szkoła wojskowa posiada halę sportową, są szkoły z krytymi basenami, ujeżdżalniąmi koni, prowadzone są szko-

sznurem

lenia spadochronowe, narciarskie. Każdy żołnierz zawodowy po ukończeniu szkoły ma zepewnioną pracę i mieszkanie. Po studiach i utrzymaniu stopnia oficerskiego może podejmować dalszą naukę w krajach socjalistycznych, m.in. na Kubie.

— Obywatel pułkownik odbył wiele spotkań z młodzieżą na temat zawodowej służby wojskowej. O co najczęściej pytają uczniowie ostatnich klas?

— Mimo popularyzacji wiedzy o szkołach wojskowych w prasie, radiu, telewizji, młodzież nie jest zorientowana nawet w podstawowych sprawach. Od listopada do marca każdego roku oficerowie i podchorążowie szkół oficerskich odbywają spotkania z młodzieżą we wszystkich szkołach średnich. Najczęściej obawy uczniów dotyczą dyscypliny. Boją się np., że miesiącami nie można opuścić murów szkolnych. Tak przecież nie jest — podchorążowie, kadeci posiadają stałe przepustki uprawniające do opuszczania koszar. Zdzierżenie uczniów wywołuje regulamin studiów, zobowiązujący do stuprocentowej obecności na zajęciach oraz to, że w szkole wojskowej nie można pozostać na drugi rok. Ale podobne zasady studiowania zostały przecież wprowadzone także w uczelniach

cywilnych. Dyscyplina wynika po prostu z potrzeby pełnego wykorzystania czasu przeznaczonego na naukę.

— Uczniów szkół średnich interesuje przyszłość po ukończeniu szkoły wojskowej.

— Każdy otrzymuje pracę, a wybór jej miejsca zależy od wyników osiągniętych w szkole — im wyższa lokata, tym większy wybór. Żołnierz zawodowy może także wyjeżdżać za granicę — wystarczy zgoda przełożonego.

Są też tacy, którzy pytają o warunki... przejścia na emeryturę.

— Jakże szkoły ma do wyboru uczeń ostatniej klasy szkoły średniej?

— Wojsko dysponuje taką ilością szkół, że można w nich rozwijać praktycznie wszystkie zainteresowania. Są uczelnie kształcące oficerów w kierunku ogólnowojskowym, humanistycznym, technicznym. Odpowiednikami ich są szkoły chorążych. Najwszechstronniej do zawodu przygotowują szkoły oficerskie, m.in. Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Zmechanizowanych im. Tadeusza Kościuszki we Wrocławiu, Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Pancernych im. Stefana Czarneckiego w Poznaniu, Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Rakietowych i Artylerii im. gen. Józefa Bema w Toruniu. Są szkoły kształcące kadrę techniczną i naukową, jak np. Wojskowa Akademia Techniczna im. Jarosława Dąbrowskiego w Warszawie, szkoły specjalistyczne — np. Wyższa Szkoła Marynarki Wojennej im. Bohaterów Westerplatte w Gdyni. Po ukończeniu szkoły oficerskiej można kontynuować naukę w Wojskowej Akademii Politycznej i w uczelniach za granicą.

Kandydat, który zamierza zdawać na uczelnię wojskową musi ukończyć najpierw szkołę średnią (liceum lub technikum). W zależności od wybranego kierunku zdaje egzaminy wstępne. Na kierunki techniczne — matematykę, fizykę, na humanistyczne — język polski, historię. We wszystkich uczelniach obowiązuje egzamin z języka obcego. Forma egzaminów — jak w uczelniach cywilnych: pisemny, polega najczęściej na wypełnianiu testów. Na wszystkich kierunkach przeprowadzany jest sprawdzian sprawności fizycznej. Szczegółowe informacje na temat szkół wojskowych można otrzymać w Wojskowych Komendach Uzupelnień w Łomży i Zambrowie oraz w Wojewódzkim Sztabie Wojskowym w Łomży.

— Podsumujmy: jak zostać żołnierzem zawodowym?

— Do zawodu prowadzi kilka dróg. Najczęściej wyboru dokonuje się po ukończeniu szkoły wojskowej, ale oficerami mogą zostać też absolwenci wyższej uczelni cywilnej — po odbyciu przeszkolenia w Szkole Podchorążych Rezerwy. Od kandydatów do rocznej i dwuletniej szkoły chorążych wymagane jest wykształcenie średnie, na trzyletni okres nauczania — ukończenie szkoły zawodowej.

Oprócz kryteriów formalnych szczególnie istotne są predyspozycje moralne. Nie wyobrażam sobie nawet żołnierza, który nie byłby patriotą; kandydat na żołnierza zawodowego musi mieć poczucie odpowiedzialności za podejmowane decyzje. W wojsku bowiem, nawet w czasie pokoju, człowiek często kroć ociera się o śmierć, wysyłanie ludzi do wykonania niebezpiecznego zadania musi więc być poprzedzone głębokim namysłem.

— To wszystko dotyczy chłopów. A co dla dziewcząt? Czy mogą studiować w szkołach wojskowych?

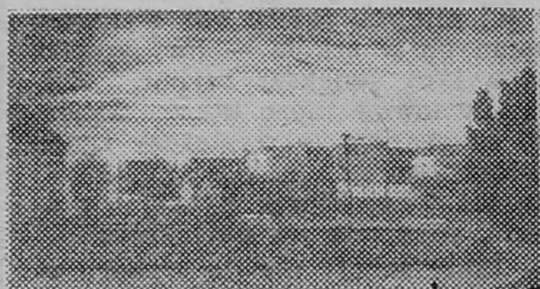
— Muszę zmartwić dziewczęta, którym marzy się zostanie żołnierzami zawodowymi. Obowiązujące przepisy nie przewidują takiej możliwości. Ale wiadomo też, że w historii znane są przypadki służby wojskowej kobiet, zwłaszcza w służbie zdrowia i łączności. W tych specjalnościach mogą jednak pracować i obecnie — nie muszą kończyć uczelni wojskowych. Mogą wówczas otrzymać nawet stopnie wojskowe. Chociaż... mam koleżankę, która jest pułkownikiem pilotem, ale to wyjątek. Natomiast dla tych, którym zabraknie siły woli, by pójść w jej ślady, a życie wojskowe lubią, mam inną radę: wybrać na męża żołnierza — wtedy mundur wojskowy będą widziały co dzień.

— Dziękuję za rozmowę.

Fot. GABOR LÖRINCZY



nieprofesjonalne spojrzenie

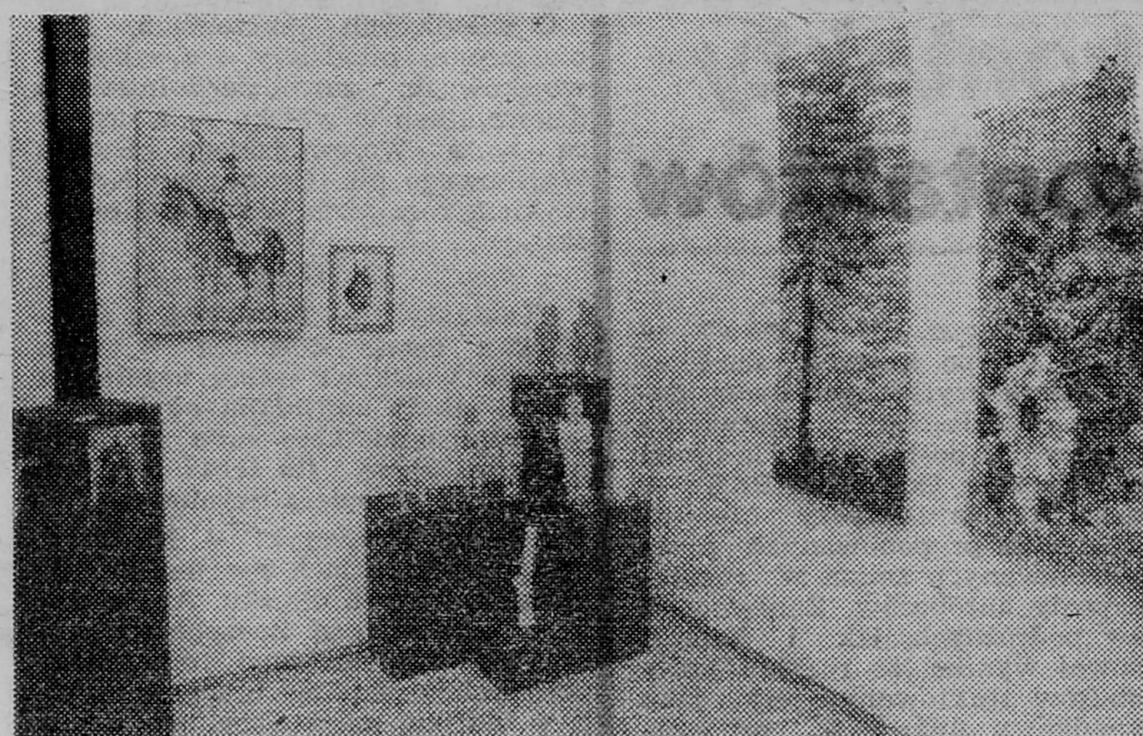


Nową wystawę Muzeum Okręgowego w Łomży (czynną do końca stycznia) dokładnie określa jej tytuł: „Łomżyńska plastyka nieprofesjonalna”. Swą twórczość prezentuje 27 autorów z 50, którzy zgłosili chęć udziału w ekspozycji. Koneserzy dokonali jedynie wyboru autorów, prac natomiast — sami twórcy, można więc przypuszczać, że są one (przynajmniej ich zdaniem) najlepsze. Organizatorzy wystawy posegregowali je tematycznie. W pierwszej sali dominuje motyw łomżyński. Niestety, Łomża jest potraktowana stereotypowo, wręcz pocztówkowo: widok na klasztor o.o. kapucynów znad Narwi lub z bliska, w dzień albo w nocy; pseudozabytkowe kamieniczki

z placu Żeglickiego, katedra. Jedyne Bolesław Deptuła oderwał się od „tradycyjnie” pięknych miejsc, by spojrzeć na nową architekturę. Jego pawilony „ABC” o zmierzchu są bardzo urokliwe. Odnosi się natomiast wrażenie, że w tej pracy fotografik zwyciężył malarza.

Pracowicie wyrzeźbiona przez Józefa Deptułę rama do obrazu otwiera drugą salę, w której przyciąga wzrok pastele Mieczysława Birlawa oraz feeria róż Stanisławy Truskolaskiej. Warto też przyjrzyć się pejzażom Mieczysława Gregorka, wyróżnionego na ostatnim Międzywojewódzkim Przeglądzie Plastyki Amatorskiej w Białymstoku, i porównać je z obrazem „Narew” Teodzie Sienkiewicz-Lorinczy. Jakże woda rzeki zyskuje na głębi, migotliwości i wyrazistości na... styropianie! Natomiast Bolesław Deptuła raz jeszcze odważył się na nietypowość: namalował martwą naturę, zatytułowaną „Grzyby z Miastkowa”. Tym bardziej więc razi śpiące dziecko a'la Wyspiański.

W trzeciej sali znajdujemy trochę rzeźby: „Krzyż” Klemensa Jankow-



skiego, ciekawe rzeźby ceramiczne Konrada Kozłowskiego oraz rzeźby w drewnie Stanisława Koziełskiego. Bardziej podobają mi się jednak jego diabeli, jędrze i niesamowite szachy z Muzeum Strachów, Demonów i Niesamowitości przy „Kontaktach”. Niezłe są też prace Józefa Krawczyka: „Rysunki piórkiem” oraz „Drzewa”.

Tkaninę artystyczną wyeksponowała jedynie Stanisława Truskolaska, lecz na jej „Sosnę” i „Kwiaty” też znalazłoby się wielu amatorów. Na

ścianach — kwiatny ogród, którego autorami są m.in. Wanda Dziewczyńska, Barbara Zielińska, Leonard Kusał, Jadwiga Jastrzębska (oboje już nieżyjący) i Czesław Dziewczyński, a najczęstszym motywem — bzy. Ogród jest barwny i bardzo naturalny. Może nawet za bardzo. Lecz piękne kwiaty, choćby były namalowane mało oryginalnie, nie drażnią tak, jak inne „śliczne obrazki”, np. „Pejzaż” Stanisława Andruszkiewicza czy „Krajobraz” Stanisława Zielińskiego. (dw)

muzyczny koniec roku

Rok 1982 pożegnała Łomżyńska Orkiestra Kameralna koncertem muzyki barokowo-romantycznej, który odbył się 9 grudnia w auli Szkoły Muzycznej, wypełnionej w większości przez młodzież. Solistką wieczoru była Maria Korecka-Soszkowska, utalentowana pianistka o wszechstronnych możliwościach interpretacyjnych. Absolwentka krakowskiej uczelni, a także Akademii Muzyki i Sztuki w Wiedniu, brała udział w licznych

konkursach pianistycznych; uzyskała wiele nagród i wyróżnień, z których najwyższą ceną nagrodę zdobyła w Hiszpanii. W latach 1978–82 wiele podróżowała, dając koncerty w kraju i za granicą.

Mijający rok poświęciła muzyce Karola Szymanowskiego, którego popularyzowała w Polsce, RFN, Belgii i Luxemburgu. W styczniu z twórczością fortepianową tego wybitnego kompozytora — ojca polskiej muzyki współczesnej — zapozna publiczność Jugosławii. Przy tak intensywnej działalności koncertowej artystka znalazła czas, aby w przeciągu czterech ostatnich lat kilkakrotnie wystąpić w ŁOK, z którą — pod batutą Henryka Szewdo — wykonała: Koncert fortepianowy d-moll Wolfganga A. Mozarta, dwa koncerty Ludwiga van Beethovena, G-dur i c-moll, a ostatnio — koncert fortepianowy A-dur Jana Sebastiana Bacha i Rondo a'la krakowiak Fryderyka Chopina.

Grudniowy wieczór rozpoczął się „Concerto grosso” op. 6 nr 6 Arcangel Corellego — twórcy tej formy, przedstawiciela włoskiego baroku. W concerto grosso, którego podstawą jest styl koncertujący, współzawodniczyły grupy: grosso (kwintet smyczkowy) z basso continuo (klawesyn) i solistyczną grupą koncertino; tworzyli ją: Bożena Soczko — I skrzypce, Franciszek Pająk — II skrzypce, Henryk Gedroyc — wiolonczela. Nie zawsze zadowalała ona intonacyjnie, a mało precyzyjne wejście skrzypiec i altówek obniżyło poziom wrażeń estetycznych. Trzyczęściowy koncert fortepianowy A-dur Bacha w interpretacji Marii Koreckiej-Soszkowskiej, mimo słabszej intonacyjnie i rytmicznie gry Orkiestry w II części, oddał w całości nastrój stylu bachowskiego.

Po przerwie Orkiestra wykonała uverturę „Echa w lesie” Józefa Elsnera — polskiego kompozytora z przełomu XVIII i XIX w., wybitnego pedagoga i organizatora życia muzycznego doby przedchopinowskiej. Spora ilość solówek w tym utworze zwracała uwagę na drewniane instrumenty dęte. Szczególnie równe, ładne dźwiękowo wejścia miały obój, klarnet, a nawet walturnie (z którymi w większości zespołów bywają niespodzianki). Natomiast zamazane rytmicznie figury w skrzypcach wypłynęły chyba ze zbyt krótkiej pracy wykonawców nad utworem.

Na zakończenie koncertu wystąpiła ponownie Maria Korecka-Soszkowska, której — ze zmiennym szczęściem — akompaniowała Orkiestra. Stylizowany Krakowiak Chopina, utrzymany w formie ronda, pełen ekspresji i dynamizmu, a zarazem romantycznej nuty, rozбудził emocje publiczności, która oklaskami zmusiła solistkę do dwukrotnego bisowania. Wykonała ona dwie wspaniałe etudy koncertowe Chopina: c-moll „Rewolucyjną” op. 10 oraz a-moll op. 25, w których jeszcze raz wykazała wspaniałą technikę pianistyczną, mocny, zdecydowany, precyzyjny dźwięk i ogromną ekspresję, będącą odzwierciedleniem jej muzycznego temperamentu.

Koncert prowadził Henryk Gała; ciekawie opowiadał o kompozytorach i epoce, w której powstawały dzieła, lecz za mało powiedział o samej muzyce, tj. o budowie utworów i ich formie. Coraz liczniejsza grupa łomżyńskich melomanów, którą w większości stanowi młodzież, powinna być gruntowniej informowana o słuchanej muzyce, zwłaszcza że nie drukuje się programów, w których byłyby omawiane poszczególne utwory.

MELOMAN

powracająca faza

Mieło kilka dobrych miesięcy, nim znów odważyłam się pójść na koncert muzyki młodzieżowej. Nie dlatego, że jej szczególnie nie cierpię; wręcz przeciwnie. Odstraszało mnie jednak zawsze zachowanie publiczności. No bo jak tu się zachwycać nową propozycją „Perfectu”, gdy ktoś, tuż przy moim uchu, usiłuje wtórować mu pijackim głosem. Jak się dać porwać dynamicznej Korze, gdy co chwila trzaskają krzesła lub wylatuje szyba. Prędko wtedy przeliczam straty i zastanawiam się, czy dyrektor Mariana Pierożyńska jeszcze to wytrzyma, czy może wyjdzie z siebie, co skończy się źle — nie dla pani dyrektora bynajmniej, lecz dla młodzieży właśnie. Sala WDK jest bowiem na razie (i na długo jeszcze) jedynym miejscem, gdzie zespoły młodzieżowe mogą koncertować.

Prawdziwie zaskoczył mnie więc grudniowy występ „Lombardu”; że zespół nieżył, to wiedziałam, ale że publiczność się nieco zmieniła, tego nie przypuszczałam. Drugi koncert opóźniał się, a mimo to nie słyszałam głupich, niekulturalnych okrzyków na widowni. Z drugiej strony — zespół też potrafił się zachować: Grzegorz Stróziński był taktowny, dowcipny i zwięzły. Okazało się, że przed drugim koncertem niespodziewanie „wysiadła” trzecia faza. Zdecydowali się na granie przy dwóch, choć — kilkunastomilionowy sprzęt bardzo tego nie lubi i niestety w takich przypadkach odmawia posłuszeństwa.

Ledwo przebrzmiał rock and roll,

a Grzegorz Stróziński zaprezentował zespół „Lombard” w nowym składzie (bez trzeciej fazy), zginęła druga faza. Wraz z jej powrotem wrócił i zespół, ale ledwo Małgorzata Ostrowska wypiewała parę słów o „Drogiu pani z telewizji”, salę spoiły kompletne ciemności. Po kilku interwencjach pracowników WDK specjaliści z pogotowia elektrotechnicznego usunęli awarię, lecz w rezultacie koncert — choć przedłużony w czasie — był niepełny. Ponadto „Lombard”, zniechęcony tymi niefortunnymi przypadkami, zrezygnował z trzeciego, nadprogramowego występu. Trudno się temu dziwić.

Mimo tylu perypetiów wszyscy do brze się bawili. Koncert mógł się podobać nawet tym, którzy nie są fanami „Lombardu”. Dobór piosenek był niezły: starsze i nowe, dynamiczne i liryczne. Entuzjazm, z jakim widownia przyjmowała przeboje: „Przeżyj to sam”, „Taniec pingwina na szkle”, „Spóźniona radość”, „Nasz ostatni taniec”, „Śmierć w dyskotecie”, świadczył, że jeszcze się nie nudziły, choć niemal wszystkie zeszły już z list przebojów. Większe — i zasłużone — brawa za śpiew otrzymał Grzegorz Stróziński. Małgorzata Ostrowska, choć sympatycznie uśmiechnięta i dynamiczna, wszystkie piosenki interpretowała w podobny sposób, co dawało wrażenie pewnej monotonii. Z reguły też publiczność wrażliwa jest na słowa, a te były wypiewywane przez solistkę niedbale. Chociaż pani Małgorzata — świadomie lub nie — naśladowała Korę, nie potrafiła jej sprostać ani

w ekspresyjności, ani czystości dykcji.

Amatorzy muzyki młodzieżowej z niecierpliwością czekają już na styczniowe koncerty. Przyznam się,

że ja też. Odwiedzą nas bowiem prawdopodobnie „Bajm” oraz „Budka Suflera” z Urszulą.

KAROLINA

prezentacje



Zespół „Vistula River Brass Band” koncertował w grudniu w łomżyńskim klubie „Stale Zajęcie”.

Fot. Andrzej Piętko





za Mruczusia

W Egipcie faraonów kot, istota dziwna i trudna do podporządkowania woli człowieka, budził wielkie poważanie. Wiódł w tym okresie wspaniałe życie: spał na miękkim posłaniu, które skrapiano pachnidłami, pożywał się ciepłą śmietanką. Kiedy osiercał swych właścicieli, to ci goliłi sobie głowy na znak żałoby. Na najwyższym piedestale stał kot czarny z białym trójkątem na czole — takiemu oddawano boską cześć. Nie można było spojrzeć na niego krzywo, a zranienie lub zabicie świętego kota karano śmiercią.

Ale kot — zwierzę szybko się rozmnażające — po jakimś czasie spowodował, choć jego dziwne zachowanie nadal niepokoiło. Papież Innocenty III, sprawujący pontyfikat w latach 1198—1216 wyklął koci ród: kłątwa groziła każdemu, kto by się osmielił trzymać kota w domu. Od tej pory uważano go za nosiciela czarów, uroków i wszelkiego zła, szczególnie czarnego. Zabijano je też bez litości, a nawet palono na stosie. Długo pokutował w nich zły duch.

Jeszcze w XVII wieku nawet poważni myśliciele, jak na przykład Wolter, z całą powagą określali kota jako złowrogą kreaturę i unikali spotkania z nim oko w oko. Miewał on jednak i przyjaciół. Koty Izaaka

Newtona przetrwały w anegdocie. Jedna z nich opowiada, że ten genialny fizyk — by ułatwić im wychodzenie na dwór o każdej porze, wyciął w drzwiach dwa otwory: mniejszy dla mniejszego, większy dla większego. Dopiero później spostrzegł, że koty nie respektowały usprawnienia — obydwie wyskakiwały tylko większą dziurą.

Kiedy w XIX wieku Ludwik Pasteur ogłosił całemu światu, że kot jest zwierzęciem pozbawionym wirusów i bakterii — wkroczyły one do domów i stały się ulubieńcami i przyjaciółmi swych właścicieli, którzy zaczęli się pysznić ich posiadaniem. Mruczusie i Pimpusie zapewniły sobie nieśmiertelność razem ze swymi wybitnymi panami. Jako nad wyraz mądre, dowcipne, znające obce języki przetrwały w anegdocie koty Honoriusza Balzaka, Wiktora Hugo, Marka Twaina.

Zoologowie widzą w kocie same dodatnie cechy: ma 290 kości, które się nie łamią; fosforyzujące oczy, które widzą w najciemniejszym miejscu i to pod kątem 187 stopni; ma doskonały słuch i 140 uderzeń serca na minutę.

My po staremu trwoniemy myśli o dniu, w którym kot przebiegnie nam drogę.

seks oswojonych

Trzykrotnie w swej praktyce lekarskiej spotkał się Zygmunt Freud z ludźmi cierpiącymi na erytrofobię, czyli lęk, wstręt do czerwonego koloru, co najczęściej objawiało się strachem przed widokiem krwi. Pierwszy przypadek leczyl przez pięć lat, bez skutku, tyle tylko pomagając pacjentowi, że ten mógł jakoś radzić sobie w życiu. Drugi pacjent przerwał leczenie. Trzeci poddał się kuracji. Cierpiał na pozabawione widocznych przyczyn intensywne pocenie się i rumienienie. Bardzo bał się golenia, aby się nie skaleczyć i nie zobaczyć krwi. Dobrze czuł się w chłodzie.

Było jasne, że jest to przypadek nerwicy lękowej. Tylko jak znaleźć jej źródło? We wstydzie? Pacjent miał w Wiedniu opinię uwodziciela i rozpustnika. A jednak okazało się, że diagnoza doktora Freuda była trafna. Przyczyna tkwiła w podświadczeniu rozmów rodziców, kiedy pacjent miał sześć lat. Rodzice rozmawiali o stosunku seksualnym i choć chłopiec niewiele z tego rozumiał, utrwaliło się w nim poczucie wstydu. Zepchnięte do podświadomości objawiało się nie tylko fizjologicznie, ale także psychicznie, jako nakaz przełamywania go przez odgrywanie roli Don Juana. Pacjent uskarżał się na to w ten sposób: „Muszę ciągle zdobywać kobiety, ciągle nowe, aby dowieść sobie samemu, że jestem mężczyzną”.

Jednym z najciekawszych przy-

padków był mężczyzna, którego określił jako „psychicznego masochistę”; człowiek z natury agresywny i sadysta, pragnący innym zadawać ból, odwrócił te elementy i przekształcił je w pragnienie doznawania bólu — nie fizycznego, lecz upokarzania i cierpienia duchowych. Kłopoty zaczęły się przed laty, kiedy wpadł w nawyk zadrażniania swego starszego brata, do którego czuł pociąg homoseksualny. Freud postulił się analizą snów. W jednym z nich, znalazł klucz. — Sen składał się z trzech fragmentów — bez skrepowania opowiadał pacjent. — W pierwszym starszy brat kpił sobie ze mnie. W drugim dwóch dorosłych mężczyzn pozwalało sobie na homoseksualne pieszczoty. W trzecim brat sprzedawał przedsiębiorstwo, którego ja — spodziewałem się zostać dyrektorem.

— Był to sen masochistyczny — wyjaśnił doktor Freud — sen spełniający pragnienie, które można streścić: „Zasłużyłem sobie na to, aby brat sprzedał interes. W ten sposób ukarał mnie za wszystkie cierpienia i katusze, jakie mu zadałem.” W erotycznej naturze wielu ludzi znajduje się składnik masochistyczny, którego źródłem jest odwrócony sadyzm. Często przyczyną tych zjawisk mają początek w okresie wczesnego dzieciństwa.

(Na podstawie „Pasji utajonych” Irvinga Stone’a).

miłość i wierność

W krainie łatwej śmierci — jak nazywano przed pół wiekiem Japonię — samobójstwa stanowiły prawdziwą plagę. „Shinju”, czyli rozstanie się z życiem z miłosnych powodów, miało zupełnie inny wymiar niż w Europie. Nie były to wszakże samobójstwa pojedyncze. Popaľniały je prawie wyłącznie pary. Narzeczeni, którym rodzice nie pozwalali, ze względu na różnice społeczne lub majątkowe, na zawarcie związku małżeńskiego — wyjeżdżali do Tokio. Tam przez kilka dni używali życia. Kiedy wydali ostatniego jena, byli już gotowi do desperackiego kroku. Najczęściej schodzili z tego świata związani łańcuchem, rzucając się do morza. Albo też para stała na szynach tramwajowych i przytknąwszy miedziany drut do przewodów elektrycznych umierała wskutek porażenia prądem. Mieszkańcy miast wolli popełniać samobójstwo w okolicach o pięknych widokach. Swego czasu takim „ulubio-

nym” przez nich miejscem był krater wulkanu Asama.

Samobójstwa znajdowały pełne usprawiedliwienie w wierzeniach ludowych. Japończycy twierdzili, że duchy tych, którzy ze świata zesłali w sposób naturalny straszą ludzi, a więc śmierć samobójcza jest lepsza.

Zdarzyło się niejakiemu Ihatszi Ito, że zakochał się w gejszy Omot-sza (czyli dosłownie: zabawka). Byli bardzo szczęśliwi, więc postanowili skończyć z życiem, zanim wygaśnie ich miłość. Ale Ihatszi okazał się w ostatniej chwili tchórzem. Pół roku później znaleziono go otrutego. Przed śmiercią napisał list, w którym wyjaśniał, że od chwili śmierci narzeczonej nie zaznał spokoju. „Zabawka” zjawiała się co noc i wzywała go do opuszczenia świata. Wreszcie usłuchał jej. Duch po prostu upomniał się o swój spokój w zaświatach, jako że samobójstwo w pojedynkę ukojenia nie dawało.

Igloo

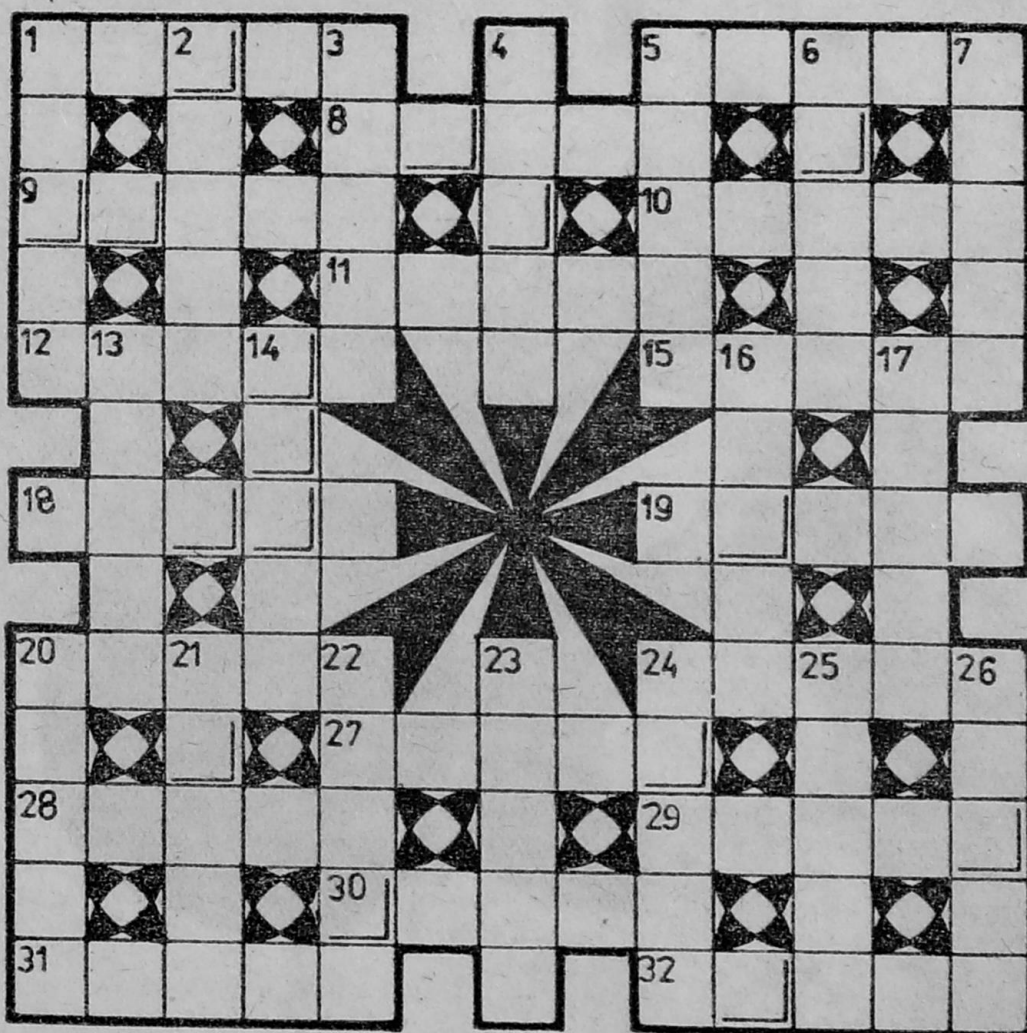
Nowicjusz, który przybywa do arktycznej krainy, otrzymuje zazwyczaj kwaterę w zbudowanym przez przewodnika igloo. Eskimosi nie szczędzą ostrzeżeń o możliwości zaturcia się czadem w takim domku, ale też nie informują, jak wietrzyć śniegowe pomieszczenie. Adept nieodmiennie wycina więc w wierchołku otwór i... pośród nocy budzi się pod gołym niebem. Jest to zrozumiałe, bowiem uchodzące ciepło w taki właśnie sposób powoduje topnienie śniegu i zanikanie sklepienia.

Jak Eskimosi budują domki lodowe? Najpierw szukają półki twardego śniegu i po zbadaniu jego głębokości i spistości rysują kolisty obwód domku. Następnie wycinają nożem bloki śniegu, podważając je końcem futrzanego buta, który wspaniale zastępuje klin. Bryły śniegu wycinają z wnętrza przyszłego domku, układając je na obwodzie koła. Gdy ściany są już wzniesione na wysokość trzech — czterech bloków, ścinają nożem najwyższe piętro, nadając mu kształt pochyłego progu. Następne rzędy tworzą wówczas zwyżającą się ku górze spi-

rałę. Zamurawwszy się ze wszystkich stron Eskimosi drążą otwór w najniższej kondygnacji. Dobudowuje się w tym miejscu niski tunel, przez który można wchodzić tylko na czworakach. Wylot jest skierowany w tę stronę, z której najrzadziej wieje wiatry. Otwór wentylacyjny wywiercają znacznie poniżej zalamania ściany — dzięki temu górna warstwa ciepłego powietrza, chłodzona przez zimny podmuch z tunelu wejściowego, uchodzi przez wentylator, nie topiąc śniegu.

Po wybraniu budulca na ściany domu powstaje w jego wnętrzu półkolisty znaczny wgłębienie. Druga połowa koła — to rodzinne łóże — choć ze śniegu, ale wysłane grubą warstwą futer. Eskimosi siedzą na nim lub leżą z wyprostowanymi nogami, bo ułatwia to krążenie krwi. Palenisko i ludzkie ciała wydzielają dość ciepła, by we wnętrzu igloo panowała znośna temperatura.

Domki śniegowe bywają przestronne i wygodne. Ich wysokość sięga nierzadko 2,70—3,30 metra. Niekiedy buduje się rząd domków, połączonych śniegowym tunelem. Rodzina mieszka w igloo przez całą zimę, choć zbudowanie nowego trwa krótko — nawet 35 minut.



Odgadnięte wyrazy o poniższych znaczeniach należy wpisać do diagramu. Literę z pół oznaczonych, czytane kolejno rzędami utworzą sentencję łacińską.

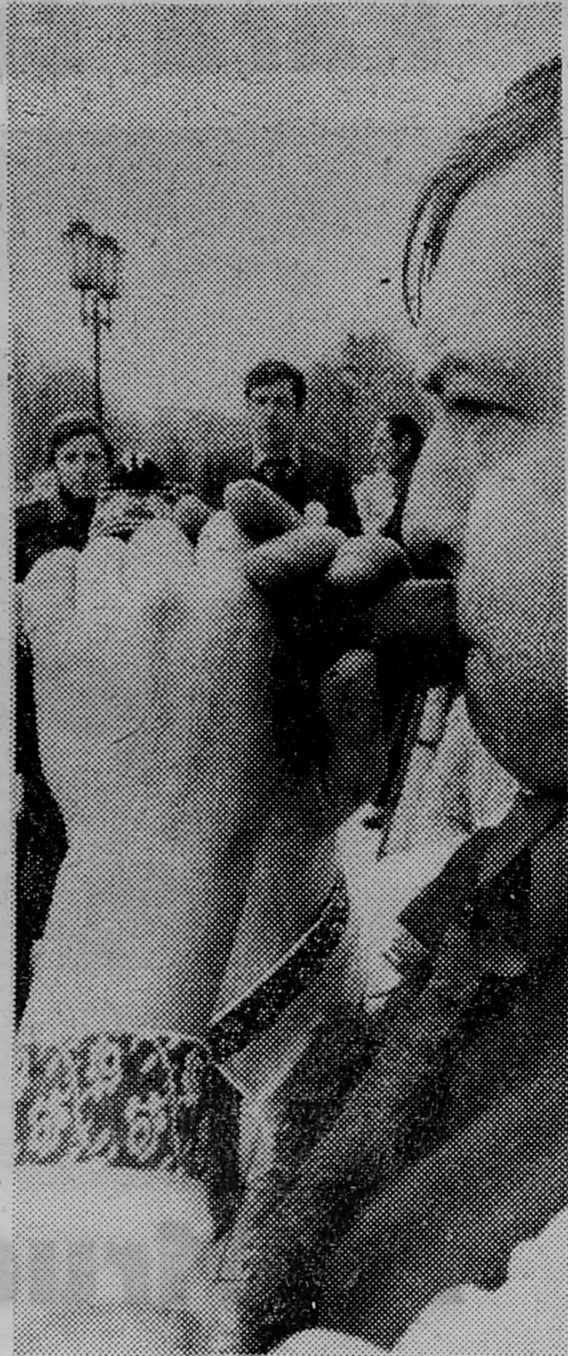
POZIOMO: 1) taniec ukraiński w takcie 2/4, 5) wódz Madziarów, założyciel dynastii węgierskiej, 8) jedno z bóstw staroruskich, 9) barowe i do tego zimne, 10) groźna choroba zakaźna, 11) pieniądz, w którym nie ma ani grama kruszcu, 12) kurpiowski Janosik, 15) szarpnięcie czasem z byle powodu, 18) tatarski książę, 19) Kalebasa, 20) jezioro na południu Drawskim, 24) stalowa lina okrętowa, 27) słynny Kercelak, 28) imię autorki „Mirtali” i „Chama”, 29) „najsłynniejszy” z Greków, 30) ma je kufer i walizka, 31) nierzaz zakreślić się w oku, 32) czternastowieczny utwór liryczny.

PIONOWO: 1) dawniej epilepsja, padaczka a także bezprawie, 2) najslawniejszy spór ród stoików, 3) marszczony lub fałdowany kołnierz z koronki, 4) starogrecka beczka gliniana do przechowywania zboża, 5) dawna moneta rosyjska, 6) żywioł, który niegdyś strawił Rzym, 7) na Powązkach straszą, 13) z dymem za pan brat, 14) furman, 16) imię żeńskie (panienka z TV okienka), 17) okrzyk, uznanie, 20) absolutna doskonałość, 21) przedostatnia oracja, 22) strach, przewrażliwienie, 23) po nocy, 24) powieść Rodziewiczówny, 25) starożytny podpalacz, 26) filmowy uwodziciel.

(GOLIAT)

Rozwiązanie krzyżówki (tylko hasło) prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w terminie 10-dniowym. Do rozlosowania 2 nagrody niespodzianki.





artystyczne buczenie



Drugi Ogólnopolski Konkurs Gry na Drewnianych Instrumentach Pasterskich został zdominowany przez „rodzinę” Łepickich z Łepic w gminie Ciechanowiec. Mnie najbardziej podobał się występ Teresy. Pozakonkursowy popis zespołu dziewcząt i chłopców z Łepic pod batutą „profesora” Łepickiego mógł zadowolić najbardziej wybre-

dne gusty miłośników tych piszczących i buczących instrumentów. Szkoda tylko, że grajkiwie z Kaszub nie biorą przykładu z wiernych ciechanowieckiej imprezie Górali z Żywca. Inicjator konkursu, a zarazem zapalony miłośnik instrumentów pasterskich, dyrektor Muzeum im. Krzysztofa Kluka, Kazimierz Uszyński, obiecał, że w roku przyszłym III Konkurs będzie już rzeczywiście ogólnopolski.

Tekst i zdjęcia
Gabora Lorinczego



opowieść pana Pawęzkiego dziedzica Kalinowa

„Narew, zwracając bieg swój od miasta ku wzgórzom przeciwnej strony, ubiegłszy kawałek drogi, skręca się dwakroć w niewielkiej przestrzeni, miejsce to nazywają Krzywym Kolem. Woda w tym punkcie przez nagły zwrot nurtu rzeki, nadzwyczaj bystro płynie i dość znaczne tworzy młynki, czyli wiry, których nikt jeszcze nie zgrun- tował, bo choć się znalazł odważny do tego nurek, skoro się spuścił na dno rzeki, przypłacił życiem swoją śmiałość, ciała jego nawet już wię- cej nie ujrzano. Podanie pospolite- go ludu miejsce to siedliskiem zło- go ducha, pod nazwą topielca, być mieni [...]. Wędrownik nie odważy się zbliżyć do brzegu rzeki o półno- cy, w tym przekonaniu, że topielec w tej chwili nieczne swoje sztuki pła- ta, wabiąc nierozważnych, aby ich na dno Krzywego Koła pogrą- żyć. To jako dziecko tonące ratun- ku wzywa, to znowu w postaci do- rodne młodzieńca mamą prze- chodnią i chwytą w swoje sidła, to wreszcie zmieniony w różne zwi- erzęta ludzi lub strasz, kogo mu się przytrafi napotkać.”

Uchodźł jedynie z życiem stary rybak, ojciec dwóch dorodnych sy- nów. Niejedną ofiarę wyrwał z rąk topielca, toteż duch potępiony myś- lał o zemście.

„Jednego roku, wcześniej niż zwykle, bo już w połowie marca pękły lody na Narwi i wezbrana rzeka całe błonia zalata. Rybak ca- ły dzień ze swymi synami przepe- dził na wodzie, przewożąc biednych wieśniaków, których nagłe sprawy przywlokły do miasta. Gdy słońce zaszło, niebo pokryło się grubymi chmurami, wichur się zerwał i po- tężne na rzecę bałwany.”

Strudzony rybak legł zmęczony w zagrodzie, a przy nim i obaj sy- nowie.

„Minęła północ, głos ratunku do- chodzi uszu rybaka i ze snu go prze- budza. Zrywa się i słyszy wyraźnie krzyk przenikliwy. Chce budzić swe dzieci, lecz już postania ich puste, wypada więc szybko, będąc pew- nym, że synowie sami na pomoc pobiegli, nie chcąc go trudzić, już i tak dzienną pracę zmordowane- go.”

Zobaczył przeczuciem dręczony starzec, jak czołno z synami objęły bałwany i padł na brzeg. Jeszcze ludzi się nadzieja, ale „ostatni pra- wie bałwan, który ustający już wi- cher zapędził do brzegu, złożył na mieliźnie ciała synów nieszczęsnego rybaka, jedno niedaleko drugiego”. Bolejący starzec złożył ciała w gro- bie, „sam zaś, w tych samych nur- tach rzeki, końca dni smutnych szu- kać postanowił.”

„Zajaśniał zwiastun przedwczes- nej wiosny, śliczny dzień marcowy, niebo było spokojne i czystym zdo- bne lazurem [...]” Rybak odpłynął od brzegu, by już nie wrócić. Ale nagle usłyszał krzyki, ujrzał tłum ludzi i wirujące na nurcie małe czołenko z dwójkiem dzieci. Pośpie- szył na ratunek. Śmiały i zręczny żeglarz szybko opanował sytuację i oddał dziatki wdzięcznym rodzi- com. Potem ukołł duszę przed cze- digodnym przewodnikiem XX Kapu- cynów.

Od tej pory „ilekroć udało mu się nieść pomoc nieszczęśliwemu, lub uratować tonącego, tyle razy cegiet- kę lub odpowiedni kamień złożył na grobie swych dzieci. W lat kilka znaczny stos zebrał, a uzyskawszy potrzebną pomoc z klasztoru kapu- cyńskiego, wznosił na tem miejscu murek, na której godło zbawienia umieścił, a szanowny kapłan religijnym błogostawień- stwem ten pomnik utwierdził. Na ten znak wiary, miłości i nadziei zadrał zły duch Krzywego Koła i wnet odwieczne opuścił siedlisko.

Spokojny wędrownik bez żadnej obawy nadbrzeżną postępuje drogą; żadnej już odtąd nie było tam przy- gody.

Dawno już, dawno umarł cnotli- wy rybak; czas nadwyreżył jego kolumnę, zniknęła wiara w topiel- ca, lecz pamięć zdarzenia jeszcze wieść powtarza.”

(T. Dziekoński, Powieść starego nauczyciela dla swoich młodych przyjaciół, Warszawa 1880 r.)

ogłoszenia

JAMNIK I WŁAŚCICIEL

Dnia 4 listopada zabił się jamnik, czarny podpalany sześciomiesięczny szczeniak. Łaskawy znalazca raczy go odesłać do Wł. Kozłowskiego, ul. Dwor- na, obok Kasy Przemysłowców. Wynagrodzenie nie jest wykluczone.

(„Wspólna Praca” 1910 r., nr 33)

MAŚĆ CUD

Amerykańska maść przeciw odciskom, która w przeciągu 3—4 nocy bez- warunkowo w zupełności wyleczy wszystkie odciski, brodawki i otwardnia- ści skóry na podszewach; w przeciwnym razie zwraca się pieniądze. Cena 60 kop.

Główna sprzedaż w Łomży u W-go Bortnowskiego.

(„Wspólna Praca” 1911 r., nr 7)



MIRAŻ

Pierwszorzędny artystyczny kinematograf w Łomży, w specjalnie wy- budowanym gmachu. Stoi poza wszelką konkurencją pod względem hygieny i bezpieczeństwa, wyboru i treści obrazów.

Najlepszy w świecie aparat „Gaumont” nie drażni siatkówki i nie osłabia wzroku. Obrazy piękne z pierwszorzędnego artystycznego kinematografu „Sfinks” w Warszawie (Marszałkowska 116).

Krwawo-sensacyjne obrazy, jako szkodliwe dla każdego wieku, zwłaszcza wobec coraz bardziej rozwijającej się nerwowości — demonstrowane będą jak najrzadziej. Dotychczasowe uznanie, jakie „Miraż” cieszy się wśród miejscowej i okolicznej inteligencji, jest najwymowniejszą reklamą.

(„Wspólna Praca” 1911 r., nr 5)

KOSY ZAWSZE W CENIE

„Przy plantowaniu placu pod budowę gmachu Oddziału Banku Państwa znaleziono 14 kos powstańczych, pochodzących prawdopodobnie z 1831 r. Część tych pamiątek narodowych rozebrali przechodnie, kilka skonfisko- wała policja. Towarzystwo Krajoznawcze za naszym pośrednictwem zwraca

reklamy

się do szanownych posiadaczy kos z prośbą o złożenie przynajmniej jednego daru na przechowanie do Muzeum Towarzystwa, które czasowo mieści się w gmachu Kasy Przemysłowców Łomżyńskich.”

(„Wspólna Praca” 1910 nr 13)

FILIZOFIA ŁOMŻAN

„Jakby na ironię stacja kolei żelaznej Czerwony Bór, łącząca Łomżę ze światem cywilizowanym, odległa jest tylko dwie mile! — tylko, jak mówią, aż nadto pocziwi i wyrozumiali łomżanie; prawda, wszak mogłoby być i 3 mile odległości, albo i więcej, gdyż to nie szczególna filizofia? Taką mają... filizofię narody, na jaką je stać.”

(„Echa Półkole i Łomżyńskie” 1909, nr 97)

MYŚL ZŁOTA

„[...] tylko naga prawda odstawiająca całkowicie istotne przyczyny choroby stać się może dla chcących ją uleczyć, rękojmią zaradnych środków.”

(Zygmunt Gloger 1874 r.)

cud mniemany

We wsi Bożejewo roste stare drzewo, mocno już w środku spruch- niałe. Przechodzące przez otwór promienie słoneczne, rzucają świat- ło na tylną ścianę, od której na- stępnie promienie odbijają się, co robiło wrażenie jakby drzewo w tym miejscu promieniowało. Lud o- koliczny upatrywał sobie w tym blasku oblicze Matki Boskiej i o- głosiło drzewo za cudowne. Puszc- czona w okolicy wieść szybko się rozniósła, tak że wkrótce u drzewa owego zbierały się gromadki poboż- nych, które stale rosły liczebnie. Wieści doszły do wiadomości pro- boszcza w Wiźnie, który przybyw- szy na owo rzekomo cudowne miej- sce, wyjaśnił ludowi przyczynę blas- ku, odbijającego się od drzewa. Ale wyjaśnienia ludu nie przekonały i przybywające tłumy wciąż rosły. Nareszcie właściciel wsi postanowił ściąć drzewo. Lecz lud upatrzył już sobie znowu drugie drzewo i na nie przeniósł swe przewidzenia.

(„Echa Półkole i Łomżyńskie” nr 51 z 1903 r.)

guberniana mieszanka

Gubernia łomżyńska liczyła 10 561 kilometrów kwadratowych, składa- ła się z 7 powiatów, tyluż miast, 24 osad, ponad 3 tysięcy wiesek i fol- warków. Zamieszkiwało ją ok. 546 tysięcy ludności cywilnej. Wśród miast i osad przewodziły: Łomża (18 850 osób bez wojska), Ostrow Maz., Ostrołęka, Grajewo (ok. 7300), Maków Maz., Szczuczyn (5000), Kol- no (4870), Tykocin, Zambrów (ok. 4000).

Polacy stanowili ok. 82 proc. lud- ności cywilnej, Żydzi 16,4 proc., Ro- sjanie i Niemcy — poniżej 1 proc. W samej Łomży proporcje te wy- glądały następująco: Polacy — 45,7 proc., Żydzi — 45,1 proc., grupa ro- syjska — 7,4 proc.

Ponad 61 proc. wszystkich czyn- nych zawodowo utrzymywało się z pracy na roli. Na jednego lekarza cywilnego przypadało średnio ok. 13 000 mieszkańców, zaś do szkół uczęszczała co 37—38 osoba z terenu Łomżyńskiego.

kramik

z wydawnictwami

„Jeżeli uznalibyśmy za wiarygod- ne wiązanie miejsca znaleziska tych kabałczków, charakterystycznych dla pochówków szkieletowych, ze zlokalizowanym przez nas obiektem sepulkralnym, na którym zaobser- wowano występowanie spalonej kości oraz wtórnie przepalonego u- łamka ceramiki, musieliśmy u- znać, że cmentarzysko to cechuje birtualna forma pochówków.”

Dla mniej domyslnych dodam, że mowa tu o nowo odkrytym cmen- tarzysku wczesnośredniowiecznym w Krasowie Wólce, gm. Nowe Pie- kuty, woj. łomżyńskie, a dokładniej — na polu rolnika noszącego prze- zwisko „Statut”. Chętnych do roz- szyfrowania zagadki (rolnik czy pole „Statut”?) oraz zapoznania się z kilkoma innymi odkryciami odsy- lam do tomu XV „Rocznika Biało- stockiego” (Warszawa 1981, cena 120 zł). Ciepłych zaś informuje, że trwają prace nad wydaniem t. I „Rocznika Łomżyńskiego”.

zmarłwienią korespondenta z Mazowiecka

„O czym mam pisać na mazowiec- kim bruku?” pytam się, siedząc przed białą ówiarą papieru. O czym? Czy o tych ojczach naszych, pół nocy grających w winta, pół dnia następnego kombinujących przeróżne szlemy, rozprawiających językiem codziennym, wykoszlawio- nym? Czy o tych matkach naszych plotkujących, skarżących się wiecz- nie na służące lub znęcających się nad dziećmi swymi, że źle się uczą, że w życiu „kariery” nie zrobią? Czy o pannach naszych zawzięcie byle z kim flirtujących, byle tylko ucie- kać z domu rodzicielskiego? O czym? Może „wy chcecie pieśni słodkiej i dźwięcznej dla ucha” — wtedy ja waszym korespondentem być nie mogę. Za wiele ból wżera się w ser- ce, zbyt wielka gorzycz zalewa całe- go, a śmiech mam „za pokutę”. Roz- glądam się wokoło i w zmroku na- szym nie mogę ujrzeć ani jednego promienia świetlnego.”

„Ten-sam”

kronika

• Kasa Przemysłowców, założona przed 12 laty, liczy 1182 członków. W 1897 r. osiągnęła ponad 1,8 mil- liona rubli obrotu.

• Uruchomiono drugi w ciągu doby bezpośredni pociąg do War- szawy. Listy i gazety z Warszawy przychodzą na trzeci dzień.

• Więźniowie z okazji świąt wiel- kanocnych otrzymali paczki żywno- ściowe. Łkali pomoc ze wzrusze- nia, a korespondent „Ech” uwie- rzył, że „na dnie duszy i serca na- wet zatwardziałych zbrodniarzy, wśród gruzów i popiołów cnoty tle- ją jeszcze iskry dobrego”.

• Potrzebne są pilnie: nowe oś- wietlenie, sprawne wodociągi, czy- telnia, stały teatr, szkoła rzemieś- lnico-przemysłowa.

• Panuje „w stosunku do wygód niezwykła drożyzna na mieszkania”. Podwórka cuchną.

• Chlebem i solą witano busku- pa sejneńskiego, ks. Antoniego Ba- ranowskiego. Poprzednia wizyta biskupa miała miejsce przed 20 la- ty.

• Otwarto wystawę sztuk pięk- nych.

— Położony został kamień węgiel- ny pod nowy gmach gimnazjum męskiego.

• Stanisław Lutosławski powziął myśl założenia w Drozdowie „cuk- rowni”.

tomżymiana

Pod redakcją
Adama Dobrońskiego

tomżymiana